# PION

TYGODNIK LITERACKO-SPOŁECZNY

ROK III * WARSZAWA * SOBOTA — CENA 50 GR. — 12 PAŹDZIERNIKA 1935 R. * NUMER 41 (106)


TREŚĆ:


## TŁO SOCJOLOGICZNE SZKOŁY NOWEJ I NAJNOWSZEJ

Pierwsze dziesięciolecia naszego wieku zdawały się być kuźnią nowej szkoły, prącej do nowego życia. Nowa szkoła zerwała z tem, co było przestarzałe, a przez to nie odpowiadało jej twórczym intencjom indywidualizowania w nauczaniu i wychowaniu. Najwyższą dewizą było: stworzenie nowego człowieka o nieskrępowanej swobodzie działania, zdolnego do pełnego osobistego wyżycia się, które może służyć jako odciążenie moralne i fizyczne dla umożliwienia tem intensywniejszej i bardziej wgłębnej pracy społeczno-kulturalnej. Podstawą nowej szkoły była bezautorytatywność; „koleżeńskość" i przyjaźń miały być więzią spajającą wychowawcę z wychowankami. Nie wszechwiedząca nauka wraz ze swojemi komentarzami i innemi służebnicami była głównym celem nowej szkoły, lecz duch wychowawczy, który miał ją owiewać i zastąpić dziecku miłość matczyną oraz ojcowską troskliwość; szkoła pretendowała do zastępczyni domu rodzinnego, na którym widniały już symptomy rozkładu i moralnego upadku. Być następczynią rodziny oznaczało: przejąć w swe ręce nici niewidzialnego oprzędu dusz wychowanków, ale nigdy nie — wzorowanie się na metodach i systemach, które zawiodły na terenie degenerującej się rodziny wielkomiejskiej. Bojaźń o jutro dziecka, o jego zdrowie moralne i fizyczne była impulsem do pośpiechu „inteligentnych" i zamożnych matek, oblegających setkami nowocześnie urządzone szkoły-internaty oraz poradnie pedologiczne, w zaczątku swym wiele obiecujące, w rezultacie jednak małodajne i anemiczne.

Rozbudował się niepostrzeżenie i wyrósł pod niebiosa aparat szkolny ze swoim ciężkim bagażem literatury psychologiczno-pedagogicznej, która postawiła sobie za cel uświadamianie owych przelęknionych, roztargnionych matek, bezradnie wołających o ratunek dla dzieci swoich. Tym oto matkom nowoczesna literatura pedagogiczna zawdzięcza swój śpiewny ton beletrystyczny i tok fabularny, nieznany dawniej nawet w pseudonaukowej twórczości. Im też zawdzięczamy owe rozliczne zaułki wiedzy eksperymentalnej, któremi, jakby za dotknięciem różdżki czarodziejskiej, zaroiły się stolice zachodniej Europy. Nowa szkoła była uzbrojona w nadmiar metod i systemów; jej treść i istota poprostu gubiły się pod brzemieniem coraz to nowych pomysłów i idej zbawiennych. Jednej rzeczy brakowało szkole tej — celu konkretnego, życiowego, któryby ożywiał i zabarwiał poczynania wychowawców i nauczycieli. Trwała ona w nieustannej gorączce poszukiwania trwałego gruntu pod jestestwo swoje.

Zapalczywi profesorowie i sławni autorzy dzieł pedagogicznych nie przewidzieli rychłego upadku i zaniku stworzonego przez się dzieła; nowy świat nie zrodził się, nowy człowiek trwa jeszcze w stanie embrjologicznym — książki i przyrządy eksperymentalne powędrowały do muzeów i czekają na wyzwoleńcze oko rzadko zjawiającego się wycieczkowicza. Na gruzach zbankrutowanej idei szkoły n o w e j powstała szkoła n a j n o w s z a, będąca tworem dnia d z i s i e j s z e g o, a jednak — pewna i świadoma swoich celów, jak żadna z jej poprzedniczek. To co było przez szkołę nową zarzucone jako bezużyteczne a nawet szkodliwe — stało się dźwignią szkoły najnowszej. A u t o r y t e t i d y s t a n s, wyeliminowane przez wielkich mistrzów sztuki eksperymentalnej i zapalczywych propagatorów wychowania „przyjaznego", wracają obecnie do szkoły, by nadać ton wszelkim jej poczynaniom i działaniom wychowawczym. Rzadko która ideologja poczuwała się do tak żelaznej konstrukcji i niezłomnej istności, jak właśnie ta, którą tchnęli w nasz aparat wychowawczy możni ducha współczesnej pedagogiki. Nowoczesne teorje wychowawcze, pomimo że pretendowały do miana torowców demokratyzmu — a słuszne to ze względu na zasięg i jakość konsumentów — szerokich rzesz ludowych — jednakże w najgłębszej swej istocie i zamierzeniach były zgoła wyzute nawet z odrobiny demokratyzmu. Nie doświadczenie szkolne, zdobyte mozolnym trudem nauczyciela ludowego, nie głos wielotysięcznych rzesz rodziców, borykających się z twardym uporem dzieci, nie zdanie wychowawców internatowych, których badawcze oko rozdziera mgłę tajemnicy, przesłaniającą odmęt duszy dziecięcej, wreszcie, nie wyniki badań pedjatrycznych — zdecydowały o treści i formie szkoły nowej, lecz k s i ą ż k o w e umysły niektórych wybrańców świata intelektualnego.

Szkoła n a j n o w s z a — ostatniej doby — wyłoniła się z rozważań teoretycznych o trwałem podłożu tendencyjno-s p o ł e c z n e m, zrodziła się z nauk s o c j o l o g i c z n y c h i b i o l o g i c z n y c h, które w dobie załamania się systemów gospodarczych coraz bardziej zyskują na powadze i aktualności, podczas gdy szkoła nowa — już przebrzmiała — opierała się przeważnie na zdobyczach wiedzy p s y c h o l o g i c z n e j i f i l o z o f i c z n e j.

Szkoła nowa jak i najnowsza mają swoje głębokie podłoże społeczno-kulturalne, nadające im piętno czasu i warunków bytu.

*

Szkoła nowa, której w y g a ś n i ę c i a byliśmy niedawno świadkami, datuje się właściwie od w. XVIII, kiedy wzmogły się wibracje klasowe, a mieszczaństwo zaczęło dojrzewać do wielkości roli, którą miało odegrać w okresie rewolucji francuskiej i po niej. Nie jest przypadkiem, że Francja stała się terenem krwawych walk o „wolność, braterstwo, równość", albowiem po upadku centrów handlowych we Florencji, Lombardji i Wenecji właśnie ona miała największe szanse rozwoju handlowego ze względu na swe położenie geograficzne i przedwczesny rozkład feodalizmu. Szumne hasła, wypisane na sztandarze wojującego mieszczaństwa, były wyrazem owego niepowstrzymanego pędu do ekspansji sił twórczych i zdobycia nowych placówek handlowych, czy to w dalekich Indjach, czy też na bliskim Wschodzie. Braterstwo i przyjaźń były dobrą monetą, wybitą przez kupiectwo i wolne zawody, za którą można było kupić uśmiech i sympatję cywilizowanej ludzkości, co było przecież gwarancją *prosperity* i wszechwładztwa w dziedzinie handlu międzynarodowego.

Równość i wolność nietyle przydały się samej Francji republikańskiej, ile właśnie poza jej granicami, gdzie kupiec francuski musiał walczyć z konkurentami innych krajów o prawo ustawienia straganów na rynkach skupiających „cyganerję" świata handlowego.

Gdyby hasła braterstwa były szczerym wyrazem altruizmu, a nie środkiem obrony interesów mieszczaństwa — niechybnie i chłopstwo ówczesne, niewolniczo traktowane przez francuskie rządy absolutystyczne, korzystałoby z dobrodziejstw wiele obiecujących prekursorów wolności. Świadomość społecznego znaczenia oraz potrzeba szkolenia rąk do zdobycia prymu na terenie drobnego przemysłu i rozgałęzionego handlu stworzyły „n o w ą s z k o ł ę", której ideałem miał być człowiek silny fizycznie, umysłowo i moralnie; f i z y c z n i e, — by móc przezwyciężyć niewymowne trudności i znieść niebezpieczne przygody, jakich nastręczała wiele podróż na morzu wśród rozhukanych fal i łodzi pirackich; u m y s ł o w o — by sprostać kombinacjom współubiegających się o hegemonję komercjalną sprytnych Lombardczyków i żądnych bogactw Ormian; m o r a l n i e — albowiem spokojne sumienie, niezakłócony sen po wielomiesięcznej, pełnej perypetyj podróży — to balsam kojący dla duszy, to wytchnienie, po którem następuje odrodzenie indywidualności kupieckiej, zdolnej do nowych przedsiębiorstw i spekulacyj.

S p e n c e r to nie przygodny meteor na horyzoncie potężniejącego mieszczaństwa; to raczej wyraziciel ideałów swej epoki, twórca szkoły, będącej gwarancją pełnokrwistego, zdolnego mieszczanina-kupca. Dzieło jego *O wychowaniu fizycznem, moralnem i umysłowem* — to immanentne dzieło e p o k i.

Ideologja spencerowska opierała się nietylko na zdobyczach mieszczaństwa ówczesnego, lecz również na przesłankach humanizmu, który pomimo przeżycia się nie przestał oddziaływać na kształtowanie się mentalności cywilizowanej Europy.

Zresztą, podłoże ideologiczne rewolucji francuskiej nie jest niczem innem, jak uwydatnionym i pogłębionym humanizmem.

## *PIEŚŃ GINĄCYCH*

*Z minaretów daremnie wzywa miasto krzyk —*
*Nie przedrze się przez ryki aut i świst tramwajów —*
*Darmo muezzin ręce wyciąga ku niebu*
*I jak sęp ranny krąży w cztery strony świata.*
*Może starców dziesięciu przyjdzie — może nikt —*
*Oni tylko chorągiew proroka trzymają*
*Jak ramieniem śpiewami rozpaczy i gniewu,*
*Ich głos jedynie dźwięczy archaniołom w raju*
*I jak sztandar zwycięski nad ziemią powiewa —*
*A jednak, usta moje, palcie się jak płomień:*
*Allah jedynie Bogiem — prorokiem Mahomet!*

*Koran święty jak szpargał rzucono na bruk,*
*W Aji Sofji niewierni bezczeszczą świętości,*
*Za bramy miast jak zbrodniarz wypędzony Bóg*
*I zakon na śmietnisko rzucony jak kości.*
*Żony nasze bez zasłon — a noc litościwa*
*Nie zakrywa im twarzy zasłoną gwiaździstą —*
*I nikt — i nikt do walki świętej się nie zrywa*
*Z sercem jak wicher nagłem, z duszą jak szkło czystą —*
*A jednak, usta moje, palcie się jak płomień:*
*Allah jedynie Bogiem — prorokiem Mahomet!*

*Ten, co w tysiącach bitew burzą ciemną wrzał*
*I łamał jak cyprysy niewierne narody,*
*A nam jak cień figowca nad głową się chwiał*
*I chłodził stopy nasze jak zimny nurt wody,*
*Zdradzony przez nikczemny lud o pomoc woła:*
*Lecz nie przekrzyczeć Bogu krzyku aut i maszyn —*
*I nikt nie odpowiada i pustka dokoła*
*I tylko w snach północnych Boży krzyk nas straszy —*
*A jednak, usta moje, palcie się jak płomień:*
*Allah jedynie Bogiem — prorokiem Mahomet!*

*Nędzny żołdak zapomniał, gdzie jest jego Wódz:*
*Łamie nas obcem prawem, rozdziera bagnetem,*
*Pięścią twardą jak młoty skruszył mosiądz ust*
*I stanął strażą zdrajcy nad pustym meczetem.*
*Dla nas tylko milczenie i dla nas więzienie,*
*Gdy rozbestwiona tłuszcza nieprzytomnie krzyczy*
*I oczy łzami zżarte i dni jak płomienie*
*I noce jak mrowiska zgrozy i goryczy —*
*A jednak, usta moje, palcie się jak płomień:*
*Allah jedynie Bogiem — prorokiem Mahomet!*

*Cudzoziemcze niewierny, z mej wiary się śmiej*
*I chwal zdrajców, co nami na hańbę owładli,*
*Ale zobaczysz jeszcze: Przyjdą nowe dnie*
*I ponad zwycięzcami powstaną upadli.*
*Ten sam, co łamał burzą narody, już drży,*
*A każdy oddech Jego pręży się jak lwy,*
*A każdy oddech Jego huczy już jak grom*
*Na pomstę hańby naszej, na odpłatę łzom,*
*A każdy oddech Jego jak trzęsienie ziemi,*
*Jak powietrze morowe i morze płomieni —*
*Więc usta — moje usta, palcie się jak płomień:*
*Allah jedynie Bogiem — prorokiem Mahomet!*

*WOJCIECH BĄK*

Szkoła nowa, w myśl haseł neohumanistycznych, pielęgnowała indywiduum, dbała o wszechstronny rozwój władz umysłowych i fizycznych jednostki, stanowiącej podstawę społeczeństwa. Szkoła ta służyła wyłącznie celom mieszczaństwa, prowadziła swoją działalność w obrębie stanu, przez który została stworzona, negowała natomiast inne warstwy społeczne, jako mniej użyteczne i nawet poniekąd szkodliwe.

Należy przyznać: szkoła mieszczańska nie nosiła piętna w o j o w n i c z o ś c i, albowiem jakkolwiek przywiązywano do niej wielką wagę, jednakże nie było obawy, że czynniki obce, niepowołane, zdobędą sobie prawo ingerencji w sprawy wychowania i nauczania; zbyt silne już były pozycje mieszczaństwa w dobie k i e ł k o w a n i a nowej szkoły, by się ośmielił ktokolwiek zzewnątrz zabrać głos w sprawach szkolnych, będących monopolem elity mieszczańskiej.

Szkoła nowa, neohumanistyczna jest s y n t e z ą r ó ż n o r o d n y c h ideałów. Formowana przez trzy poważne czynniki: możnowładztwo, kościół, mieszczaństwo, wydawała się napozór apolityczną, ponadstanową, niezależną, w istocie jednak służyła wyraźnym wspólnym celom trzech wspomnianych potęg społecznych. Przedmioty humanistyczne stanowiły trzon szkoły nowej, której celem było wyrobienie ogłady towarzyskiej, niezbędnej dla utrzymywania rozległych stosunków handlowych, przyswojenie języka w mowie i piśmie oraz stworzenie iluzyj piękna i nadziemskości życia, które miały służyć jako środek umilenia życia i ubierania go w wyższe ideały. W przeciwieństwie do człowieka pierwotnego, zrosłego całem jestestwem z przyrodą i czerpiącego z niej całemi garściami szczęście i radość życia — człowiek nowoczesny, oderwany od prymitywu, wychowany wśród gwaru i oszałamiającego tempa noworodzącej się kultury kupiecko-przemysłowej, musiał sobie stworzyć świat złudzeń, świat sztuki i poezji romantycznej, w którym „kwiaty sztuczne“ miały zastąpić samorodne życie. Powoli wyłania się ideologja romantyczna, której odzwierciadlenie znajdujemy we wszystkich dziedzinach życia ówczesnego. Oddalenie od natury wywołało tęsknotę za nią. Tęsknota ta znajdowała ujście w iluzyjnem, pełnem fantastyczności wyżyciu się, w którem nie brakło również lubowania się w egzotyce i dziwaczności form życiowych. Literatura romantyczna obfitowała w „nadziemskie“ momenty życia ziemskiego, w czarujące obrazy dzikiej nieopanowanej przyrody. Literatura ta, wprowadzona do szkoły nowej jako najważniejszy pokarm duchowy, miała stworzyć dla dziecka mieszczańskiego składniki krwiotwórcze i pobudzić jego fantazję do polotu, tak niezbędnego dla przedsięwzięcia coraz to nowych wypraw w dalekie i nieznane strony świata, skąd płynie c z a r nowych zdobyczy i zysków m a t e r j a l n y c h. Zresztą, literaturze romantycznej przyświecał jeszcze drugi cel, wybitnie społeczny, a mianowicie: odwrócenie uwagi dorastającego pokolenia od budzącej się do życia warstwy niższej, która może w przyszłości stanąć do walki o hegemonję kulturalno-ekonomiczną. To, czego mieszczaństwo nie chciało widzieć, urosło do niespodziewanych rozmiarów i zaczęło zagrażać jego dobrobytowi, jaki zapewniała poprzednio zajmowana pozycja społeczna. W chwili przesytu, zbyt zuchwałego rozpanoszenia się kultury romantyczno-mieszczańskiej zaczęły powstawać wyłomy w jej napozór żelaznym gmachu ideologji i obyczajowości. Wijącego się w konwulsji olbrzyma dobił gwałtowny rozwój techniki, która jako wyrodne dziecko mieszczaństwa sprzeniewierzyła się własnej matce. Szkoła n a j n o w s z a w swoim zaczątku nie odbiegała wiele od ideałów szkoły nowej; była raczej mechanicznem powtórzeniem tych samych wartości treściowych i metod stosowanych w okresie bujnego romantyzmu. To właśnie było jej największym błędem, grzechem wprost nie do przebaczenia. Zdezorjentowane mieszczaństwo wodziło lękliwym wzrokiem wokół siebie, nie znajdując oparcia w żadnej nowej ideologji, i przeto musiało ono zadowalać się okruchami niedawno wygasłej kultury romantycznej. Technika nie znalazła swego pełnego odbicia w programie szkoły najnowszej; pokutuje ona tu i ówdzie w postaci zmniejszonej i rozbitej. Dopiero o s t a t n i e l a t a zaczęły kształtować szkołę na wzór najnowszych konstrukcyj ustrojowo-społecznych i walorów kultury technicznej [1].

Szkoła nowa odzwierciedlała s p o k o j n y i stabilizowany żywot mieszczaństwa w pełnym rozkwicie.

Szkoła n a j n o w s z a jest wyrazem ideałów odradzającego się społeczeństwa, nacechowanego nieprzepartą dążnością do unifikacji wysiłków polityczno-ekonomicznych i integracji kultury.

*H. RYLSKI* i *A. WALCZAK*

[1] Patrz: *Reforma szkoły powszechnej*, *Pion* numer 19 (84).

# PORZĄDKOWANIE ŹRÓDŁA

Znamy Mauriaca z paru przekładów polskich, teraz prof. Konrad Górski w niedużej książeczce[1] zaznajamia nas szczegółowiej z tym nader ważnym, głębokim i oryginalnym powieściopisarzem francuskim. Streszcza powieści i poprzez niektóre ich punkty wykreśla dramatyczną linję mauriacowskich zagadnień życiowych i artystycznych, dostawia do tego światło z jego pism teoretycznych, również bardzo ciekawych, np. *Bóg i Mamon*. Tę metodę przedstawiania autora zapomocą streszczeń i cytat mogą niektórzy pedanci (np. Witkiewicz) uważać za niewłaściwą, jako że niby pomija ona lub zniekształca artyzm autora, lecz lepiej takie coś niż nic, zwłaszcza gdy nie na wszystko ma się czas, i gdy informator włada tą metodą tak zręcznie i sumiennie jak W. Borowy w swej książce o Chestertonie lub Górski w dziełku, o którem tu jest mowa.

Mauriac jest pisarzem psychologicznym, który przez swe energiczne ujęcie kwestyj sumienia, moralności, spowiedzi, skruchy, na nowo aktualizuje katolicyzm i cały wkład katolicyzmu do dzisiejszej kultury. Wynika z jego powieści, że te kwestje wcale się nie przestarzały. Potrzebna jest żarliwa wiara także Górskiego, jako sprawozdawcy i interpretatora, aby ten stan rzeczy wystąpił z całą intensywnością przed czytelnikiem i wciągnął go w swoje wiry. Niegdyś Brzozowski robił to z kard. Newmanem, lecz Mauriac jest nam po ludzku bliższy. Tego nowego nabytku, który powinienby wejść jakoś w nasz obieg krwi literacki, Górski nie zaniedbuje związać tu i owdzie z naszą tradycją, np. wykazuje, że mauriacowski problem odpowiedzialności etycznej autora także w życiu naszych wieszczów odgrywał rolę. Autorskie grzeszenie *per procuram*, nad którem zastanawia się Mauriac, istniało u Krasińskiego, gdy w zemście na Rosji wyręczał się fikcyjną postacią Irydjona. „Krasiński— pisze Górski—uważał, że poeta *musi* być istotą nikczemną, ponieważ wydaje siły duszy na twórczość i nie ma ich więcej, aby mógł sam żyć“. Czyli jak powiada hr. Henryk o sobie: „przez ciebie płynie strumień piękności, ale ty nie jesteś pięknością“. Te skrupuły sumienia, które dręczyły jeszcze Krasińskiego, są już obce naszym dzisiejszym literatom, uważają oni, że autor musi się w swych dziełach „wyżyć“, i tylko obawa kompromitacji osobistej lub niemodności może jeszcze wstrzymać ich od wcielania się w tego rodzaju postaci zastępcze. Więc też porcja Mauriaca przyda się naszej literaturze o wiele więcej od porcji np. Villona. Wogóle zaś często trzeba się zdumiewać, jak wysoka jest w dzisiejszej Francji problematyka literacka. Oni zastanawiają się nad tem, czy aby czytelnik, czytając opis grzechu, nie poniesie szwanku na duszy, — gdy u nas panuje jeszcze niepodzielnie punkt widzenia artystowski, nasz pisarz wyskakuje jeszcze ze skóry, aby grzech najponętniej, najkolorowiej opisać, aby za wszelką cenę i przedewszystkiem wykazać swój talent, roztarasować się w przyszłej Historji Literatury tłustym drukiem.

Inna rzecz, że Górski zanadto *jurat in verba Mauriaci*. Jeżeli go nawet krytykuje, to przeważnie jego własnemi słowami, w ten mianowicie sposób, że pokazuje etapy jego rozwoju, od sprzeczności do harmonji — koniecznie harmonji!? —, od pytań do odpowiedzi. Ale przy tej skromności przydałaby się była także ostrożność, a nawet chytrość, ponieważ nie wszyscy czytelnicy odrazu się godzą na przesłanki dogmatyczne Mauriaca. Póki się mówi tylko o Bogu, sprawa jest łatwa, ponieważ Bóg jest wielką ideą i filozoficzną i poetycką, a przytem ideą uniwersalną, więc „poszukiwanie“ Boga lub „odnajdywanie“ Go nie natrafi w sercach na opór. Ale inne, szczegółowe dogmaty katolickie jakgdyby wciskały się za Bogiem, wymagają t. zw. pokory i dobrowolnego zwężenia krytycyzmu. Wśród nich jest dogmat o Łasce, dla Mauriaca bardzo ważny. Poświęca on wiele miejsca ilustrowaniu chwil, kiedy grzesznik dochodzi do poznania haniebnego stanu swej duszy. Sprawa, zdawałoby się, zrozumiała i bez interwencji sił nadprzyrodzonych, poprostu, t. zw. wyrzuty sumienia, które można tłumaczyć sposobem i filozoficznym i psychologicznym. Ale Mauriac widzi ją w oświetleniu poetyckiem: Bóg spada na duszę jak na łup; człowiek staje się zwierzyną, gonioną przez Łaskę (str. 35). To jest bardzo suggestywne, lecz może zachodzi tu jakaś extrajekcja, halucynacja: człowiek umieszcza nazewnątrz siebie to, co sobie samemu zawdzięcza. Jest to fenomen ciekawszy od wątpliwego fenomenu Łaski. Oto człowiek lubi być uprzywilejowanym i np. więcej chluby pokłada w tem, co otrzymuje w darowiźnie od natury, jako to: piękność, dowcip, niż we własnych zasługach. Czy to nie jest pycha, która wymyśliła sobie Łaskę Bożą? I jakie w tem niebezpieczeństwo dla duszy, gdyby ona ów dogmat wzięła na serjo i w każdym wypadku dopiero czekała na moment Łaski, na ustrzelenie zwierzyny przez Boga. Górski przytacza tu wiersz Lieberta *Jeździec* („Uciekałem przed tobą w popłochu...“), a mógłby przytoczyć także wiersze Bąka, np. *Ucieczkę* (Nr. 46 *Pionu*), oczywiście: ucieczkę przed Bogiem, zakończoną tak: I powracam do Twych groźnych rąk, Boże mego szczęścia i mych mąk!

I Liebert i Bąk znajdują się w kręgu zaczarowanym — i czarującym — tej literatury francuskiej, która się wywodzi od Pascala. Pascal — *joculator Dei*, który bawił się z Bogiem jak w ciuciubabkę, i lubował się w roli słabego i ciemnego. Tradycją tej literatury jest omawiać, uprawiać i nimbem szczególnej komplikacji otaczać moment ocknienia się z ateizmu. Każdy niedowiarek francuski zgóry wie, że czeka go moment, kiedy zaskoczy go Pan Bóg lub też on niespodzianie spotka Boga i pójdzie śladem największych intelektualistów swojego narodu. Można sobie wyobrazić, jakiego rodzaju snobizm tu jest zawczasu przygotowany. Prócz Mauriaca także powieści Bourgeta są przykładami tej wyrafinowanej gry intelektu. W Anglji Chesterton, — lecz specjalnie amerykański filozof James w swoiem *Doświadczeniu religijnem*, — buduje aż teorję owych przełomowych momentów. Z naszej literatury prócz powyższych dwóch liryków mógłbym przytoczyć Z. Kisielewskiego (powieść *Doktór Paweł*), lecz jego kult przełomów nadzwyczajnych wywodzi się z innych przesłanek.

Ale w zakresie kultury duszy — a czyż jest inna? — metoda Mauriaca, z Łaską czy bez Łaski, jest przez to cenną, że będąc wnikliwą i dociekliwą, jest również aktywną, i przytem czyni z t. zw. moralizowania, to znaczy z hipotezy grzechu!, jakgdyby instrument duszoznawczy. Gwałtem rozszerza widok na twórcze możliwości w zakresie etycznym. Program ten ziszczony jest zwłaszcza w *Kłębowisku żmij*, a opiewa on: wykrywać przyczyny opierania się Bogu, oświetlać tajemne źródła czystości (str. 16). „Katartyczne“ znaczenie tej metody najlepiej się okaże, gdy się ją zestawi np. z metodą Freuda, która nie posługuje się wprawdzie hipotezą grzechu wprost, ale zato hipotezą zatraty szczęścia dziecięcego. Komunizm ma też swój własny dostęp do „źródła“, ale w wyniku raczej tylko podstawia jedno źródło (ekonomja) za inne (dusza jednostkowa) i sprawy sumienia jednostkowego topi w sprawach sumienia zbiorowego.

Wybucha u nas od czasu do czasu alarm o jakąś ideologję literacką. Dawniej Brzozowski, później Kołaczkowski (wstęp do *Wyspiańskiego)*, teraz Witkiewicz, Skiwski. Właściwie ona jest, i to dominująca, komunistyczna. Mauriac porusza się na drodze, na której możnaby dotrzeć do innej ideologji, orjentującej wśród zjawisk świata. Jego interpretator — Górski — zlekka dotyka tej sprawy, gdy w osobnym rozdziale zastanawia się nad stosunkiem Mauriaca do burżuazji. Stwierdza, że Mauriac nigdy nie traktuje burżuazji jako „klasy“ i nie walczy o nią w imię jakiegokolwiek ustroju, jest tylko analitykiem życia wewnętrznego, czyli — jak to się mówi — pracuje w innej płaszczyźnie. Szkoda że tylko tyle, i że bez konsekwencyj. Ale trudno od powieściopisarza żądać aż całej filozofji. Dla mnie Mauriac jest wybitnym klerkiem i szczególnie dogadza mi jego westchnienie: „Ach poeci! zwierzyna dla Boga!“ — któreby można zrobić punktem wyjścia do rozważań nad znaczeniem literata w kosmosie.

Braki myślicielskie Mauriaca stały się przyczyną zajmującej kontrowersji między Górskim a Skiwskim, którzy obydwaj traktowali go jak biblję. Chodzi o kwestję, czy artysta wogóle może odtwarzać świat bez pewnego identyfikowania się z nim, a więc np. świat grzechu — bez grzechu. Bo jeżeli nie, to czy katolik wogóle może być artystą? Zdaje mi się, że jest to problemat fikcyjny, a nawet sztuczny.

Mauriac twierdzi, że „pewien stopień analizy nie pozostawia już w naszych postaciach ani jednego dobrego uczucia w stanie czystości“. „Wystarczy może oczyścić źródło — mówiłem sobie, sądząc, że tak wreszcie pogodzę w mojem życiu powieściopisarza z chrześcijaninem. Ale było to zapominaniem, że źródło, nawet oczyszczone, zachowuje swoje pierwotne błotniste dno, w którem zanurzone są ukryte korzenie mojego dzieła. Nawet w stanie łaski moje twory rodzą się z najbardziej zmąconej części mego (grzech pierworodny? K. I.) ja, z tego co we mnie tkwi wbrew mojej woli“. Górski widzi na to jedyną radę: oczyścić źródło! to znaczy: walczyć, trzymać się zdrętwiałemi palcami okrucha łaski Bożej, — trzeba być wciąż wielkim, aby żyć wśród subtelnych pokus związanych z samym warsztatem powieściopisarskim. Przytacza Maritaina, Norwida i — oczywiście — samego także Mauriaca i konkluduje, że autor może nawet zaryzykować zgorszenie przy obnażaniu rany, gdy chodzi mu naprawdę o to, by zbadać jej głębokość i założyć opatrunek.

Skiwskiemu (w artykule *Lucyfer wyanielony* w *Kurjerze Porannym*) nie podoba się ta konkluzja jako klajstrowanie tragizmu, i obwinia o nią nie Mauriaca lecz jego komentatora. Cytuje inne enuncjacje Mauriaca, z których jednak wynika tylko, że Mauriac sam sobie przeczył lub się rozwijał. Skiwski ma „kompleks“ tragizmu, uparcie i — rozkoszny prowokator! — przy każdej sposobności radby ściągnąć anioła tragizmu na ziemię, byle on sam był jego heroldem — i to jest jego katolicyzm. Ale zapomina — lub sądzi, że zapominają inni — że tragizm zaczyna się dopiero tam, gdzie kończą się możliwości walki, a te możliwości są bardzo wielkie.

Plastyczny obraz Mauriaca o źródle zbałamucił obu adwersarzy. Skiwski układa sobie taki dramat: Badanie? Opatrunek? Nie, to wybiegi! Pisarz musi się babrać życiem, bo na to jest pisarzem; to jest jego zadaniem, przeznaczeniem, przekleństwem i rozkoszą. Zwłaszcza tą rozkoszą rozkoszuje się Skiwski; „powieściopisarz — powiada — syci się obrazem świata *takiego jaki jest*, człowiekiem takim, jakim jest, gdy chrześcijanin jest bojownikiem, który stara się *zmienić* człowieka, wyplenić zeń „zło“ i zaszczepić „dobro“. „I tę delektację (własną) zaszczepia on drogą artystyczną czytelnikowi“.

Ale mojem zdaniem istota procesu estetycznego i jego stosunek do życia praktycznego (zamiast chrześcijanina trzeba sobie tu pomyśleć wogóle człowieka czynu) zostały tu mylnie, *hedonistycznie*, pojęte. „Delektacja“ u twórcy dotyczy tylko danego dzieła, gdy ono rośnie i udaje się, ale sam akt twórczy, jako akt utrzymywania i rozwijania w wyobraźni pewnego filmu, nie ma nic wspólnego z rozkoszą, chyba że za rozkosz uznamy wszelkie wyładowywanie się energji. Skiwski kładzie jednak nacisk na treść, na zawartość aktu wyobraźni: ponieważ wyobraźnia *zajmuje się* a więc niejako napełnia się grzechem, złem, przeto tem samem już się nią delektuje. Dlaczego? To jest pogląd zdawkowy; można go użyć nawet w recenzji, dla skrótu, tam gdzie nie chodzi o ścisłość, o — porządkowanie źródła. Skiwski rozciąga zjawisko pornografji niejako na cały obszar twórczości: gdy artysta opisuje kwiat, więc coś ziemskiego, to i to jest pewnego rodzaju pornografja.

Ale nawet pornografja bywa bardzo często robiona „na chłodno“; wtedy się mówi, że to nie jest pornografja „artystyczna“, a więc jednak suponuje się coś specjalnego, co o artyzmie stanowi.

Wogóle zaś uczucia towarzyszące aktowi twórczości — towarzyszące! lecz nie stanowiące go — mogą być rozmaite. Nietylko upodobanie, lecz np. ciekawość badawcza, lecz nawet odraza, nienawiść, zemsta, poczucie obowiązku, wzniosłość, zgroza, trwoga. Wykrycie i napiętnowanie łotra nie jest bynajmniej — jak mniema Skiwski — „podziwem“ dla „precyzji i pomysłowości“ „dzieł szatana“; jeśliby nawet tak było, to ten podziw zrównoważa się podziwem dla umysłu ludzkiego, który te zagadki odkrywa. Opisywanie łotra (i „zbójeckich zakątków życia“ — Żeromski) nie jest solidaryzowaniem się z nim, ani kolekcjonerstwem okazów, lecz — w zasadzie, w przedłużeniu linji — przygotowywaniem materjału do walki. I tu pozwolę sobie przypomnieć moją hierarchję poezji: obserwująca (przygotowująca), walcząca, ziszczająca. To też pogląd Skiwskiego dotyczyć może właściwie tylko jednego działu literatury: powieści realistycznej, a olbrzymi zakres pozostawia poza nawiasem (Charakterystyczne jest jego wyrażenie, że chodzi o „sobowtóra życia“).

Ten pogląd, który nazwałem zdawkowym, wraca oczywiście ciągle, bo — humanistyka nie jest fizyką. Zola za swoją *Nanę*, *Odprawę*, uznany był za pornografa, podszywającego się pod moralistykę społeczną. W najnowszych czasach dzieła pacyfistów jak Remarquea, Dwingera, Dorgelèsa, obwinione zostały przez komunistów jako obłudne, ponieważ w gruncie rzeczy — rzekomo — oswajają ludzi z wojną, nawet najokropniejszą. (Tylko dla Barbussea i Rennera zrobiono wyjątek.) A jednak sądzę, że ci autorzy mają czyste sumienie co do swego pacyfizmu.

Więc tragizmu tu nie widzę i zgadzam się z konkluzjami prof. Górskiego, choć nie z przesłankami. I jestem przekonany, że — wbrew postrachom Skiwskiego — artysta, który napisał *Dzieje grzechu*, w jakiś sposób poszedł jednak do nieba, rozgrzeszony na podstawie Najwyższego kodeksu estetycznego i moralnego. Wbrew Skiwskiemu, który radby go widział nawet w piekle, byle się zadość stało molochowi tragizmu.

*KAROL IRZYKOWSKI*

[1] K o n r a d G ó r s k i: *François Mauriac.* Studjum literackie.. Poznań. Księgarnia Św. Wojciecha. Str. 106.

# WAKACJE W ANGLJI

(GARŚĆ WRAŻEŃ)

Wakacje w Anglji to w pierwszym rzędzie pobyt nad morzem, na którejkolwiek z niezliczonych plaż, w jakie obfituje całe południowe i wschodnie wybrzeże Anglji. Większość ich rozrosła się z biegiem czasu w mniejsze lub większe miasta i miasteczka, co posiada tę dobrą stronę, że neutralizuje do pewnego stopnia ryzyko, połączone z kaprysami angielskiego klimatu i w dnie deszczowe lub „mokre", jak nazywają je eufemistycznie Anglicy, pozwala zastąpić kąpiel i sporty wodne przyjemnościami miasta i obserwowaniem miejskiego życia. A jednym z uroków Anglji jest właśnie to, że całe życie, aż do najdrobniejszych objawów, obfituje w szczegóły odmienne od naszego, kontynentalnego.

Plaże angielskie, pokryte zazwyczaj żwirem, rzadziej piaskiem, ciągną się często na przestrzeni kilku kilometrów i wyposażone są we wszystko, co pozwala spędzać na nich dzień cały. A więc kioski z dziennikami i książkami, inne, w których sprzedaje się przeróżne morskie smakołyki, restauracyjki i herbaciarnie, — nie zapominajmy bowiem, że Anglik o żadnej porze dnia nie może się obyć bez herbaty. Nie brak też i rozrywek; całe mnóstwo automatycznych aparatów gry, czyto zręczności, czy też skromnego hazardu, otoczonych jest ustawicznie miłośnikami tego rodzaju emocyj; wreszcie urozmaicenie czysto swoistego rodzaju: produkcje chóralne „Armji zbawienia", odbywające się zazwyczaj wieczorami. Każda szanująca się plaża angielska szczyci się ponadto conajmniej jednym *pierem* czyli estakadą, wysuniętą na palach daleko w głąb morza i służącą nietylko za przystań dla statków spacerowych, lecz także do pomieszczenia teatru, sali koncertowej i szeregu przeróżnych lokali rozrywkowych. Wielką atrakcję dla angielskiej publiczności stanowią odbywające się na *pierach* dwa razy na dzień koncerty orkiestr wojskowych, strojnych w czerwone, bogato szamerowane mundury. Gdy zapadnie zmrok, cała plaża i *piery* stają w ogniu tysiącznych lamp różnokolorowych, a co soboty wieczór tryskają w niebo setki rakiet i ogni sztucznych, gasnących z sykiem w magicznie oświetlonem morzu. Trzeba przyznać, że angielskie miejscowości kąpielowe starają się gorliwie o uprzyjemnienie pobytu gościom, nie pobierając przytem, co zasługuje na podkreślenie, żadnych taks od przyjezdnych.

W głębi lądu rozsiadło się miasto czy miasteczko; nie brak w niem starych uliczek i placyków, chronionych z całym pietyzmem od zagłady, grożącej im od rozrostu i architektonicznej barbarji. Często jeszcze można napotkać stare domki w uroczym tudorowym stylu oraz typowe staroangielskie gospody, przypominające żywo powieści Dickensa czy Thackeraya. Anglik lubi napitki, znosi jednak z zadziwiającą pokorą przeróżne utrudnienia, jakie mu stawia państwo, dbałe o trzeźwość i moralność. Przedewszystkiem więc bary i piwiarnie otwarte są w pewnych tylko godzinach, południowych i wieczornych, przestrzeganych z wielką surowością. Po godzinie 10 lub 10 i pół wieczór nie można za żadną cenę ugasić choćby najniewinniejszego pragnienia. Określanie godzin zamykania tego rodzaju lokali (zwanych popularnie *pubami*, od słowa *public house)* zależy od władz komunalnych. Doprowadza to często do takich dziwactw, że np. w Londynie, składającym się, jak wiadomo, z samodzielnych jednostek samorządowych, z jednej strony ulicy piwiarnie zamykane są o godzinie 10, a z drugiej strony tej samej ulicy o pół do jedenastej, ku wielkiemu zadowoleniu amatorów alkoholu, którzy o godzinie dziesiątej przenoszą się poprostu na drugą stronę ulicy. Ludzie zamożniejsi wynaleźli sobie inny, dość oryginalny sposób bezkarnego obchodzenia przepisów. W Londynie istnieje mianowicie szereg klubów, gdzie spragniony gentleman zawiera z zarządcą na piśmie fikcyjny kontrakt zakupna pewnej ilości butelek danego napoju, które w piwnicy zostają zaopatrzone nazwiskiem danego jegomościa. Następnie każe sobie podać butelkę i wysącza ją najspokojniej w świecie, gdyż w razie policyjnej rewizji gospodarz oświadcza przedstawicielom władzy, że gość ten konsumuje swoje własne, zdeponowane w klubie napoje. Dla człowieka kontynentalnego lokale wyszynkowe nie przedstawiają wielkiej atrakcji, gdyż piwo podawane jest zawsze, nawet w największe upały, ciepłe, a wina są dość drogie. Anglik nie lubi być widzianym, gdy bywa w takich lokalach; toteż szyby od ulicy są w nich zawsze mleczne, a w niektórych, w części szykowniejszej, zwanej barem salonowym, mleczna szyba oddziela gościa od sprzedającego, który nie widzi, komu podaje napoje! Uderza w tych lokalach dość znaczna ilość kobiet i to nietylko w zarezerwowanych dla nich specjalnie salach, lecz także w części dostępnej ogólnie.

Teatry angielskie różnią się od kontynentalnych odmiennym podziałem kategoryj miejsc; w większości teatrów jakoteż i w kinematografach dozwolone jest palenie. Przy przedstawieniach popołudniowych podaje się za umiarkowaną cenę herbatę z ciastkami, a zwyczaj ten nadaje salom miły charakter towarzyskiego zebrania.

Obok starych domów i uliczek charakterystyką bardzo wielu miasteczek jest stary kościołek, otaczany pieczołowitą opieką, a sięgający często bardzo odległych epok. Tak np. w pobliżu słynnej angielskiej plaży Brighton było nam danem podziwiać w małej wiosce Ovingdean saksoński kościołek z XI wieku, dochowany do dziś w tej samej postaci, jaką podają współczesne opisy. W dzwonnicy tego kościołka ukryty był przed Cromwellem król Karol II, bezpośrednio przed ucieczką do Francji. Inna mała miejscowość portowa, Shoreham, szczyci się znów kościołem zbudowanym przez jednego z normandzkich krzyżowców, bratanka Wilhelma Zdobywcy, a u przełomu XII wieku przebudowanym częściowo w normandzkim stylu. Niedaleko stamtąd wspaniałe zamczysko Arundel, należące do księcia Norfolk, pierwszego rangą między angielskimi książętami, daje, choć częściowo silnie odrestaurowane, pojęcie o świetności dawnych wielkopańskich siedzib angielskich.

Kto umie podróżować i patrzeć, wyniesie z krótkiego nawet pobytu w Anglji bardzo wiele w wysokim stopniu zajmujących spostrzeżeń i wspomnień. Jednej pozwolę sobie pod tym względem udzielić rady: nie szukać wielkich hoteli, które na całym świecie są mniejwięcej jednakowe i nie dają możności bliższego wniknięcia w zwyczaje i poglądy danego kraju. Pobyt w małych pensjonatach, zamieszkiwanych wyłącznie przez Anglików, nauczy więcej niż przeczytanie najlepszych książek o Anglji. skoryguje też dość rozpowszechnione na kontynencie zapatrywanie o rzekomej nieprzystępności angielskiej. W przeciwieństwie do Anglików podróżujących na kontynencie, u siebie, w domu, Anglicy łatwi są do nawiązywania stosunków, a te raz zadzierzgnięte, zachowują często bardzo długo swą serdeczność. Dla przeciętnego Anglika każdy przybysz z kontynentu należy do kategorji *french people*, choćby nawet nie umiał ani słowa po francusku.

Prasa angielska, poza kilku organami, jak *Times*, *Morning Post*, *Daily Telegraph* i niedzielne *Sunday Times* i *Observer*, stoi naogół na dość niskim poziomie. Dzienniki przepełnione są wiadomościami o charakterze czysto lokalnym lub nawet prywatnym, jak np. wiadomość, że p. X. polecił synowi w testamencie przyozdabiać grób swój kwiatami dwa razy do roku, oraz „mieć pieczę o swoją matkę" (zaczerpnięte z *Evening News)* lub też, że lord N. N., któremu urodził się syn, mierzy tyle i tyle stóp i cali, „w skarpetkach". Podobnych „sensacyjnych" informacyj dałoby się przytoczyć bez liku, co zaś najbardziej charakterystyczne, to to, że przeciętny Anglik, z którym się o tem rozmawia, nie widzi absolutnie w tem nic śmiesznego! Ponieważ zaś poważne dzienniki, o których wspomniałem powyżej, czytane są tylko przez sfery bardziej inteligentne, można sobie wyobrazić, w jaki sposób urabia się opinja angielskiego „człowieka z ulicy" o wypadkach, wchodzących w zakres polityki, o których wypadnie mu często decydować przy demokratycznej formie rządzenia. Anglja posiada wprawdzie kilka pierwszorzędnych tygodników politycznych, ale i te czytane są tylko przez elitę. Brak tu natomiast zupełnie tygodników polityczno-literacko-artystycznych francuskiego typu *(Candide*, *Gringoire*, *Marianne* itp.), które cieszą się zasłużenie tak wielką poczytnością i wpływem we Francji.

Rolę politycznego kształcenia szerokich mas sprawuje dziś coraz bardziej radjo. Dzięki niemu przeciętny Anglik zaczyna powoli zdawać sobie coraz lepiej sprawę, że jego niedostępna dotąd wyspa zbliżyła się tak bardzo do kontynentu, że nie wolno mu już marzyć o izolowaniu się kompletnem od losów i polityki innych państw europejskich. Dorastająca generacja zaczyna interesować się coraz bardziej sprawami kontynentalnemi i podróżujący Polak nie usłyszy już może odpowiedzi, jaką mi dała po głębokim namyśle mała 6-letnia Angielka, którą zapytałem, czy słyszała kiedy w życiu o Polsce: *No, I only heard about Jesus Christ, but never about Poland!* („Nie, słyszałam tylko o Jezusie Chrystusie, ale nigdy o Polsce"). Dziwne skojarzenie pojęć, którego nie umiem sobie wytłumaczyć.

*MARJAN HENZEL*

# O WŁADYSŁAWIE LEOPOLDZIE JAWORSKIM

(W PIĘCIOLECIE ZGONU)



Prof. Wł. L. Jaworski

W swem ostatniem większem dziele *Projekt Konstytucji* (Kraków 1928) pisał ś. p. prof. Władysław Leopold Jaworski: „Pretensje moje są wielkie. Nie dlatego, abym miał nadzieję, że któraś z moich myśli stanie się ustawą. Doświadczenie nauczyło mnie, że w życiu politycznem zasadą jest kompromis, a kompromis zmienia bardzo pierwotne wnioski. Ale pragnąłbym zwrócić współczesne myślenie polityczne na inne drogi i poddać pod rozwagę pytanie, czy nasze dziedzictwo myśli politycznych nie wyczerpało się już i czy nie czas już, abyśmy zaczęli zbierać nowe kapitały. Próbą wskazania kierunku, w którym należy iść, aby ten nowy kapitał zdobyć — z pewnością tylko próbą — jest niniejsza praca".

Współcześni nie przeszli też—bo przejść nie mogli — obojętnie wobec tej próby, wobec tego zdumiewającego wysiłku. Czeka na specjalne studjum — wykazanie wpływu (i analogji) *Projektu* Jaworskiego na Konstytucję z 23 kwietnia 1935. Tu wystarczy wspomnieć o konstrukcji prezydentury choćby, podstawowej zresztą i bodajże najbardziej charakterystycznej dla naszej Ustawy Konstytucyjnej. Jednym z argumentów zaś, którym wspierał prof. Jaworski swą koncepcję, był ten — znakomity, bo trafiający w „główkę gwoździa": „Zawsze większą jest szansa znalezienia jednego sprawiedliwego, niż dwustu" (o. c., str. 20).

Wysiłek Jaworskiego był istotnie zadziwiający. Ludzie, którzy z lubością zawsze i każdemu przylepiają „etykietki", mówili o Jaworskim: konserwatysta. A to była przedewszystkiem — i w najdrobniejszych szczegółach — wspaniała indywidualność. Nie było w Jaworskim ani odrobiny zaśniedziałości, jakiegoś przesadnego kultu przeszłości. Nie uważał bynajmniej, by wszystko, co stare, patyną wieków okryte — miało być czcigodne. Konserwatyzm pojmował jako rozpoznawanie — tego, co się ostało z przeszłości przed zębem czasu, co sensowne i przydatne, — i jako budowę na dobrze ugruntowanych zrębach. Unikał w ten sposób doktrynerstwa, które burzy wszystko i dokładnie, by kamień nawet drobny nie pozostał z przeszłości.

Przed skostnieniem, ugrzęźnięciem w starych szablonach — chroniła Jaworskiego umiejętność przemyślenia rzeczy „do końca" (ulubiony jego zwrot). Jaworski widział jasno i wyraźnie niekonsekwencje i luki wielu konstrukcyj, które tworzą „żelazny kapitał" prawoznawstwa. Sięgając myślą głębiej, dostrzegał brak adekwatności między tradycyjnemi schematami jurysprudencji a zmienionemi — pod wielu względami radykalnie — stosunkami gospodarczemi czy społecznemi. Poddając analizie poszczególne kwestje prawa konstytucyjnego czy administracyjnego (np. *Nauka prawa administracyjnego. Zagadnienia ogólne*. Warszawa 1924), doszedł do przekonania o konieczności przebudowy gmachu prawoznawstwa od podstaw. A nie cofnął się przed żadną trudnością. Zawady zaś i przeszkody były olbrzymie, skoro się zważy, że szło o przełamywanie od wieków zakorzenionych szablonów, które tak bardzo zrosły się z myślą prawniczą, że zdawało się, iż inaczej myśleć — wogóle niepodobna.

Jaworski wskazywał swemi pracami, że owszem — można i należy. I ta właśnie rzutkość myśli budziła szacunek głęboki i podziw nawet u tych, którzy nie mogli uznać za własne — wyników rozmyślań Jaworskiego. Rys to, zapewne tragicznie nieodłączny, wszelkiego pionierstwa. I choć własne poglądy zwiastuna nowej myśli padną w ofierze na szańcu, to jednak raz przełamany front staje wolny. Oto zasługa pionierów. A cześć dla pionierstwa myśli Jaworskiego szczególną ma podstawę. Wszak prace konstrukcyjne zmarłego profesora pochodzą z ostatniego dziesięciolecia jego życia, kiedy autor ich był w tym wieku, w którym inni zwykle spoczywają na laurach, przetrawiając to, co w młodości powiedzieli. A uprzytomnijmy sobie jeszcze, że to wszystko zdziałał człowiek, trapiony nieuleczalną chorobą.

Dorobek naukowy Jaworskiego zdumiewa nietylko głębią i śmiałością myśli, ale też rozpiętością zasięgu. Pracuje na terenie nietylko prawa konstytucyjnego i administracyjnego, lecz i cywilnego, nietylko jako dogmatyk, lecz również i kodyfikator-projektodawca (np. *Kodeks agrarny).* Zostawia cenne i piękne *Aforyzmy z filozofji prawa.* Pisze *Notatki*, książkę w swym rodzaju jedyną. Jaka dziwna w niej świeżość myśli, głęboki nurt uczucia, dojrzała mądrość i czarowna lekkość i klarowność stylu! Przełom w poglądach Jaworskiego, który nastąpił już po wojnie, nie zatrzymał się w granicach prawoznawstwa. Jaworski-racjonalista przebudował swój światopogląd na podstawach „absolutnych". Rozczytywał się w Hoene-Wrońskim, św. Augustynie, św. Tomaszu z Akwinu i in., szukał harmonji umysłu i uczucia, rozumu i intuicji. W zagadnieniach socjologicznych bliskie było stanowisko Jaworskiego poglądom Othmara Spanna. Jaworski, który mawiał: „nie wystarczy myśleć, trzeba umieć myśleć o myśleniu", pragnął ujmować zagadnienia „całościami", syntetycznie, w ich dynamicznym przekroju. Tę postawę nazywał romantyzmem prawniczym. Ostatnia praca Jaworskiego *Romantyzm w prawie* obudziła żywe echo także zagranicą, zwłaszcza we Francji. Prof. J. Bonnecase z Bordeaux napisał nawet obszerną rozprawę w związku z powyższą pracą Jaworskiego (jej przekład francuski ukazał się w sprawozdaniu ze Zjazdu Prawników Polskich, *Themis Polska*, I, 1930). Prof. Bonnecase zwrócił się również w liście, utrzymanym w niezwykle serdecznym tonie, — jak mi opowiadał prof. Jaworski — z propozycją wzajemnej wymiany prac i kontaktu korespondencyjnego. Niestety śmierć przedwczesna położyła kres pięknie rysującym się perspektywom.

Praca naukowa i publicystyczna wypełniała w zupełności tylko koniec życia Jaworskiego. Znana jest dość powszechnie działalność polityczna Jaworskiego, jako posła do sejmu galicyjskiego i parlamentu austrjackiego, jako prezesa N. K. N-u wreszcie. Wiele nowych szczegółów jednak przyniesie dopiero pamiętnik Jaworskiego, który ogłosi rodzina we właściwym czasie. Sylwetka profesora zarysuje się wówczas w pełnej wyrazistości i plastyce.

*

Zetknąłem się z ś. p. prof. Jaworskim w ostatnim roku jego życia. Profesor nie opuszczał już mieszkania i w jego pokoju odbywały się posiedzenia seminaryjne. Oprócz tego przyjmował codziennie między 4 — 5 swych bliższych uczniów. Urok tych pogawędek sam na sam z Profesorem pozostanie na zawsze—nie zapomniany. Jaworski miał niezwykły dar indywidualizowania rozmowy. Zawsze był sobą, ale z każdym był inny. A pozatem nie było w nim apodyktyczności, oschłej pedanterji. Nie narzucał swych poglądów, tylko wyjaśniał, tłumaczył, przekonywał. Ale umiał też słuchać. Starał się zawsze zrozumieć poglądy przeciwne. Już wówczas byłem zdecydowanym przeciwnikiem wszelkiej metafizyki w prawoznawstwie. Zdawałoby się więc napozór, że brak było wspólnej płaszczyzny dyskusjom z profesorem, który miał opinję „metafizyka i mistyka". W rzeczywistości jednak Jaworski z dużą precyzją odgraniczał problematykę naukową od przed- i poza-naukowej. Z rzadkiem u prawników uświadomieniem metodologicznem wskazywał kanały podziemne, łączące kwestje „światopoglądowe" (metafizyczne) z konstrukcjami i teorjami prawniczemi. Tak zatem znajdował aspekty, rzucające nowe światło na mocno nieraz zabagnione zagadnienia. Iloma to zresztą podnietami do dociekań naukowych promieniowała bogata umysłowość Jaworskiego! Trudno, naprawdę, opisać niedołężnemi słowami tę jedyną atmosferę, jaką chłonęli ci, którym dane było zetknąć się bliżej z Jaworskim. Jak wyrazić tę dobroć, serdeczność i delikatność uczuć, to „wyjście człowiekowi naprzeciw" (Niemcy mają tu trafny termin *Entgegenkommen)?* I tylko genjalny malarz potrafiłby znaleźć odpowiedni wyraz dla uśmiechu, który tak często przewijał się na twarzy Profesora, gdy z zapałem mówił o pasjonujących go zagadnieniach. W tym uśmiechu rysowała się subtelność, słodycz i mądrość Władysława Leopolda Jaworskiego.

*ALFRED SCHORR*

# WSPÓŁCZESNA LITERATURA CZESKA

Aż do początku wieku dziewiętnastego Czesi nie mieli literatury w dzisiejszem rozumieniu tego pojęcia. Pod koniec wieków średnich i w czasach odrodzenia nad umysłowością czeską panuje niemal wyłącznie myśl religijna i ona wyciska potężne piętno na twórczości czeskiej. Radykalizm etyczny reformatorów czeskich, jak Maciej z Janowa i Milicz z Kromierzyża, wyprzedza Jana Husa, którego stos rozpala wielki ruch husycki. W tym ruchu bojownicy husyccy uważali się za „bojowników bożych“ i tworzyli czeski, pod względem narodowym zupełnie oryginalny i niezależny, odcinek walki o wolność sumienia i wolność badania. Związani z cesarstwem niemieckiem i z kulturą zachodnią, przeżyli Czesi reformację i przeciwreformację w postaci najtragiczniejszej. W Czechach wybuchła wojna trzydziestoletnia; jej błahe perypetje początkowe pozbawiły naród czeski szlachty narodowej i zgasiły jego życie kulturalne na przeciąg dwóch wieków.

Do nowego życia narodowego wzywają naród czeski t. zw. budziciele, ale ich poezja stosowana nie ma nic wspólnego z poezją prawdziwą. Dopiero Hynek Macha (1810—1836) poematem swoim *Maj* zapoczątkowuje współczesną czeską literaturę artystyczną. Nie odrazu jednak zwycięża sztuka. Jeszcze długo panuje pedagogizm narodowy w młodej literaturze czeskiej (Jirasek, Svatopluk Czech), zanim znajdzie ona kontakt z literackim kosmopolityzmem światowym (Vrchlicky, Zeyer). Potem przychodzi ostry, bojowy realizm J. S. Machara (ur. 1864 r.), wodza „młodych“, i literatura czeska upodobniła się całkowicie do innych literatur europejskich.

Obecnie nietylko dotrzymuje kroku wielkim literaturom światowym, ale toruje sobie własne drogi i coraz częściej zwraca na siebie uwagę nawet takich ekskluzywistycznych społeczeństw, jak angielskie. Nestor krytyków czeskich, F. X. Szalda, uważa, że społeczeństwo czeskie „wyżyło się“ religijnie docna w średniowieczu i w czasach odrodzenia, tak iż obecnie literatura czeska pozbawiona jest zupełnie pierwiastka religijnego. Zdaje się, że Szalda ma na myśli raczej pewne formy życia religijnego, niż religijność wogóle, bo właśnie w literaturze współczesnej myśl czeska nietylko zastanawia się nad instytucjonalizmem religijnym, ale niejednokrotnie usiłuje wyjrzeć poza zjawisko, aby spojrzeć w oczy istocie rzeczy.

To nastawienie umysłowości czeskiej stanie się tem zrozumialszem, gdy zważymy, że społeczeństwo czeskie, związane na bardzo długo z przemożnym żywiołem niemieckim, już w wiekach średnich straciło ostatnich wodzów - bojowników, aby pójść za wodzami nauczycielami i wychowawcami. Wspomniani już reformatorzy Maciej z Janowa, Milicz z Kromierzyża i Jan Hus to pierwsi z długiej dynastji wychowawców-nauczycieli i moralistów. Nie brakło też takich postaci w ruchu husyckim, a jednym z największych mężów czeskich wieku XVII był Amos Komensky, pedagog światowej sławy. Wychowawcami *par excellence* byli t. zw. „budziciele“, którzy dosłownie budzili swoje społeczeństwo do nowego życia. Po nich idą historycy jak Palacky, politycy jak Riegr i wychowawcy jak Tyrsz i Fügner, twórcy „Sokoła“. U końca tej linji widzimy wielką postać Masaryka, profesora uniwersytetu i wychowawcę swego społeczeństwa w najogólniejszem i najszlachetniejszem znaczeniu słowa. Przy jego boku staje z nim do pracy Edward Benesz, również profesor uniwersytetu.

W życiu Komenskiego i Masaryka religja odgrywa rolę pierwszorzędną, chociaż ludzie ci, przedzieleni trzema stuleciami, różnie ją pojmowali. Motyw religijno-kosmiczny powiązany z motywami narodowemi odgrywa pewną rolę także w poezjach Jana Nerudy (1834 — 1891), zaś dzieło Otokara Brzeziny (1868 — 1929) całe przesycone jest pierwiastkiem religijnym. Ale ten żarliwy mistyk jest postacią przełomową. Przy całej czci dla tradycji katolickiej wypowiada się na łożu śmierci do przyjaciela swego księdza Demla, który pragnie udzielić mu sakramentów kościelnych, że już nie wierzy w życie pośmiertne, a na wierzenia kościelne spogląda oczyma wiedzy. Jego religijność należała więc do kategorji Russellowskich wyobrażeń pośrednich między wiedzą a wiarą.

Taka wiara religijna wypowiada się także w najnowszej literaturze czeskiej, której najwybitniejszymi dziś przedstawicielami są Karel Czapek, Ivan Olbracht, Jan Czep i inni. W ludziach tych żyją jakieś niedomyślane do końca myśli po odległych przodkach i szukają dla siebie wyrazu w mistycyzmie nauki współczesnej, czy w nauce mistycznej. Treść życia jest dla nich wszystkiem. forma literacka nie odgrywa roli tak decydującej, jak u nas naprzykład, ale bywa czarująca przy swojej niejako mimowiedności.

Najwszechstronniej wypowiedział się dotychczas Karel Czapek w dziełach, które cechuje pesymizm kulturalny. Karel Czapek lubi tworzyć postaci tytaniczne, jakichś nadludzi, którzy, wydostając się poza warunki naszej ludzkiej walki z cierpieniem i śmiercią, z głodem i nędzą, znajdują się odrazu poza sferą ludzkich radości, aby wrócić dobrowolnie w sferę ludzkich cierpień, ludzkiej słabości i nędzy, która jest jednocześnie sferą najczystszej ludzkiej radości i najwyższego szczęścia. Cała kultura nasza wyrosła na gruncie walki z cierpieniem i śmiercią i tylko na tym gruncie istnieć i rozwijać się może.

Czapek czyni swoich bohaterów wielkimi wynalazcami, obdarowuje ich wielosetletniem życiem przy wiecznej młodości *(Sprawa Makropulos)*, daje im w rękę potężne materjały wybuchowe, przy pomocy których możnaby podbić cały świat *(Krakatit)*, stwarza mechanicznego robota, aby uwolnić człowieka od pracy *(R. U. R.)*, przeprowadza ich przez całe piekło nędzy życiowej, aby w śmierci dokonać w nich cudownej transfiguracji *(Meteor)*, ba, przedstawia nawet fantastyczne sytuacje, w których Bóg, pojęty po spinozowsku, oddziela się od materji i zaczyna żyć fantastycznie, kapryśnie, napełniając ziemię wszystkiemi wyobrażalnemi dobrami *(Fabryka Absolutu)*. Ale każdy taki rozmach tytaniczny kończy się pokornym powrotem ku tej słabej ludzkości, której tęsknota jest samej siebie nieświadoma.

Pozatem interesuje i niepokoi tego pisarza zagadkowość życia i to niepojęte, co dokonywa się w człowieku wbrew jego woli i poza jego świadomością. Zwykły konflikt ludzki, prawno-moralny, podnosi Czapek do konfliktu o znaczeniu kosmicznem. Ludzie męczą się i cierpią bez winy *(Boża męka)*, a chociaż zdawałoby się, że dość wyciągnąć rękę, aby uchwycić banalne, powszednie szczęście, uczynić tego nie mogą. Może wydaje się im, że dręczą się własnym uporem, ale w gruncie rzeczy działa tu jakaś moc, której manifestacja jest wyczuwalna, lecz której imienia nie znamy.

Czapek ma w sobie wiele „namiętności detekcyjnej“ wobec życia, którą ujawnił w mierze bardzo obfitej w *Meteorze*. Podróżny lecący aeroplanem ulega wypadkowi, spada i, ciężko poraniony, zostaje w stanie głębokiej nieprzytomności zawieziony do szpitala. Nie odzyska przytomności i po kilku zaledwie dniach umrze. Nie posiada żadnych dowodów osobistych i nikt o nim nic nie wie, ale siostra miłosierdzia, chirurg, internista, jasnowidz, poeta, związani solidarnością losów ludzkich z człowiekiem spadłym z nieba. nie ustąpią, dopóki nieprzytomne ciało nie powie im wszystkiego, czego człowiek o człowieku dowiedzieć się może. Ta powieść jest szczytowym etapem w namiętności detekcyjnej Karola Czapka i najsłuszniej odznaczona została zeszłoroczną nagrodą państwową.

Niejako ubocznym produktem namiętności detekcyjnej Czapka i zadośćuczynieniem jego zmysłowi humoru są *Opowiadania z jednej kieszeni* i *Opowiadania z drugiej kieszeni*. Te krótkie opowiadania detektywne cechuje pogodna fantastyka życia powszedniego, pełna swobody i humoru. Podobnie pogodne i wesołe są jego *Listy z Anglji*, w których opisowość rywalizuje z głębokiem przenikaniem życia myślami filozoficznemi.

Ivan Olbracht (właściwie Kamil Zeman) to epik przykuty spojrzeniem do tragedji życia ludzkiego. Największem i najbardziej znanem jego dziełem jest *Więzienie najciemniejsze*. Tragedja ślepca, który dość nieoczekiwanie traci wzrok i zaczyna być zazdrosny o młodą swoją żonę. Zadręcza siebie i ją. Pewnej nocy zdaje się mu, że słyszy jakieś podejrzane szelesty i głosy i jest pewien, że przyłapał kochanka żony. Poomacku, cicho, zakrada się do pokoju sąsiadującego z sypialnią, zamyka drzwi na klucz i jest przekonany, że blisko niego znajduje się nienawistny kochanek jego żony. Z rewolwerem w ręku ściga swoje zwidzenie, potyka się, przewraca, wstaje, ciężko dyszy i nie wątpi, że tuż-tuż jest ten nienawistny rywal, który zabiera mu ubóstwianą żonę. Ten pościg przywidzenia, trwający długie godziny, jest poprostu straszny. Ślepcowi wydaje się, że jego wróg siedzi na kanapie, że uciekł za stół, że chce się dostać ku oknu, i zależnie od tych wyobrażeń zabiega mu drogę. chce go schwytać, nie pozwala mu uciec. Wdaje się z nim w rozmowę, apeluje do jego uczuć ludzkich, do honoru, mówi mu o nierównej walce ze ślepcem. W domu panuje cisza. ślepiec jest sam na sam ze swoim upiorem. Wreszcie po długich strasznych godzinach takiej walki, służąca puka do drzwi, aby mu powiedzieć, że krewni zabrali jego żonę do siebie i że ona, służąca, musi także odejść, że niebawem przyjdzie wszakże jego lektor... Ślepiec zostaje sam, otwiera drzwi i wskazuje swemu upiorowi wyjście: — Niech pan wyjdzie! — Potem pada przywalony niewymiernym ciężarem swego strasznego losu z imieniem żony na ustach.

Olbrachta zainteresowało żywo życie ludu podkarpackiego—i na Rusi, włączonej do Czechosłowacji, znalazł temat do powieści o zbójniku Nikole Szuhaju. Dzieło to cechuje wspaniała epika ludu, który w zbójnikach czci i kocha swoich obrońców. Pierwotny lud nie zna i nie rozumie kultury ludzi mieszkających w mieście, nienawidzi tych, którzy każą mu płacić podatki i ciężko pracować za niewielkie wynagrodzenie. Nikola Szuhaj stał się zbójnikiem przypadkowo, po powrocie z wojny światowej i znalazł dla siebie gotowy wzór w legendzie Oleksy Dowbusza, jednego ze zbójników podkarpackich. Przeplatanie się ustawiczne rzeczywistości współczesnej z dawną legendą składa się na dzieło o dużej wartości poetyckiej. Bujne życie zbójnickie gasi śmierć zdradliwa z ręki przyjaciela fałszywego albo zdradliwej kochanki.

Podczas gdy Karel Czapek i Ivan Olbracht szukają dla sztuki swojej wyjątkowych warunków, sytuacyj i ludzi, Jan Czep lokalizuje swoje tragedje w życiu najpowszedniejszem. Wielka, gorąca miłość zwykłego człowieka dla zwykłej kobiety kończy się u Czepa w niskich oktawach tragizmu zgoła nieoczekiwanego. Jakiś biedny fryzjer daremnie usiłuje zakotwiczyć się w życiu. Walczy przez jakiś czas nietyle z życiem, ile z sobą. a potem idzie pewnego dnia na szosę, aby spełnić swoje przeznaczenie i rzucić się pod przejeżdżające auto. Czep dostrzegł nieubłagany los człowieka i umie go odtworzyć w całej grozie, jak mało kto.

W kilku tomach swej mistrzowskiej prozy dał ten pisarz przykład rozwoju niezwykle szybkiego i konsekwentnego. Jako prozaik nie gorączkuje się, nie miota, nie podnosi głosu, nie ucieka się nigdy do przenośni, opowiada zwykłemi słowy o rzeczach zwykłych, ale budowa jego tragedyj ma w sobie coś z grecka nieubłaganego. Gdy kochanka, wyczerpawszy swój zapas uczucia, pozostawia swego partnera i odchodzi, w milczeniu opuszczonego umie Czep przedstawić coś jak krzyk Orfeusza za umarłą Eurydyką *(Dziurawy płaszcz)*. Gdy nieszczęśliwego fryzjera wyprowadza na szosę *(Człowiek na szosie)* i gdy już wiadomo, że ten nieszczęśnik może iść tylko w nicość, czytelnik do ostatniej chwili nie przeczuwa, co się stanie, i staje zdrętwiały, gdy fryzjer rzuca się pod nadbiegające auto. Jan Czep jest laureatem wielkiej firmy wydawniczej „Melantrich“; za ostatnio wydaną książkę *Granice cienia (Hranice stinu)* otrzymał nagrodę tej firmy w wysokości 15.000 koron. O książce tej napiszę osobno.

Należałoby obszerniej napisać o prozatorze wielkiego formatu Jarosławie Durychu, autorze Wallensteinowskiej trylogji *Bloudeni (Błądzenie)*. Jest to wspaniale napisana rzecz o wojnie trzydziestoletniej, która dla Czech zbiegła się z przeciwreformacją i była dla tego kraju wyjątkowo tragiczną. Jego styl jest prosty i wyjątkowo mocny, jego perspektywa historyczna jest jasna i dziwnie przezroczysta.

Z pośród innych autorów Vladislav Vanczura zbyt szybko spoczął na łatwo zdobytych laurach, podczas gdy inny młody pisarz, Egon Hostovsky, czyni duże postępy. W literaturze czeskiej dzieje się obecnie wiele ciekawego i zdaje się, że byłoby dobrze zwracać na nią więcej uwagi i nie ignorować jej, jak to czyniliśmy ostatnio. Na uwagę zasługuje także liryka czeska, rozmiłowana w metafizyce blasków i kształtów.

*PAWEŁ HULKA-LASKOWSKI*

# O LOS ZAMKU RAPPERSWILSKIEGO

Wybierając się wiosną b. r. w podróż naukową zagranicę, postanowiłem m. in. zwiedzić również zamek w Rapperswilu, stanowiący przez pół wieku przeszło ruchliwą i pożyteczną placówkę propagandy polskiej zagranicą. Skłonił mnie do tego artykuł kustosza Bibljoteki Rapperswilskiej, D-ra Adama Lewaka: *Rapperswil a dzisiejsza propaganda polska zagranicą*, ogłoszony w n-rze 6 *Pionu* z dnia 9 lutego b. r.

Projekt D-ra Lewaka wyzyskania Rapperswilu dla propagandy wolnego już dziś Państwa Polskiego zapomocą stałych i zmiennych wystaw wydał mi się tak trafny, że aż zdziwiłem się, dlaczego nie zrobiono tego już dawno, dlaczego tak mało wie się w kraju o losach zamku po przeniesieniu stamtąd w r. 1927 zbiorów muzealnych i bibljotecznych do Warszawy.

Że wie się w tym względzie u nas stanowczo z a m a ł o, o tem przekonałem się niestety na miejscu, w połowie kwietnia b. r. Wrażenie, jakiego doznałem jako Polak, było wprost przygnębiające i zawstydzające. Zastanowiło mnie już, że, kiedy w gronie kilku szwajcarskich intelektualistów wspomniałem o zamiarze odwiedzenia zamku rapperswilskiego, spojrzeli na siebie porozumiewawczo, poczem w nader delikatnej formie uprzedzili mnie, że nie wszystko, co tam zobaczę, sprawi mi przyjemność, a wkońcu wprost wyrazili zdanie, że w ostatnich latach dzieje się tam niedobrze. A więc Szwajcarzy — obcy — więcej wiedzą o „naszym“ zamku, niż my tu w kraju.

Miasteczko Rapperswil, uroczo położone nad jeziorem zuryskiem, czyste, ciche; mieszkańcy schludni, zamiłowani w porządku, przywiązani do starych tradycyj, dumni ze swego zamku. Góruje on nad osadą, zbudowany z kamienia, otoczony parkiem, któremu niemało uroku dodają hodowane w nim daniele — ulubieńcy Rapperswilan.

Ale — u samego wstępu do zamku, przed bramą wejściową nasuwa się już wątpliwość, do czyjego to „pamiątek kościoła“ wchodzimy: Szwajcarów czy Polaków. Bo oto obok napisu stwierdzającego, że jest to muzeum polskie, wmurowano tablicę pamiątkową z nazwiskami Szwajcarów poległych w czasie wojny światowej. Wiemy, że zamek mają Polacy w najmie aż do r. 1970. Zobaczmy zatem, co też mieści się w nim „polskiego“, do czego Polska go użyła, jak w nim gospodaruje, jak opiekuje się tym powierzonym jej przez Szwajcarję, bądź co bądź cennym zabytkiem przeszłości — cennym i dla Szwajcarów i dla Polaków.

Pora jest przedsezonowa, w zamku zastaję tylko dozorcę z żoną i córką. Krzątają się w maleńkim ogródku urządzonym na dziedzińcu; chcą, aby było tam schludnie. Opłacam 50 centimów wstępu i powierzam się przewodnictwu dozorcy. Jest to rodowity Szwajcar, mówiący tylko swoim językiem ojczystym, bardzo chętny i poczciwy, który jednak bardzo mało umie powiedzieć turyście, a jeszcze mniej nadaje się do spełnianej przez siebie roli „kustosza“, który ma dbać i o urządzenie wewnętrzne zamku, aby z niego zrobić „muzeum“ godne zwiedzania. Usiłowania jego w tym kierunku są wprost fatalne, a — niestety — czynione w najlepszej wierze. Również zadania związane z konserwacją samego budynku przerastają jego możliwości i umiejętności.

Ponieważ po wywiezieniu zbiorów muzealnych i bibljotecznych pozostawiono puste sale, obstawione mniej lub więcej zniszczonemi półkami, które dotychczas stoją bezużyteczne i zaniedbane, uznano za stosowne zapełnić je przedmiotami przeznaczonemi — na sprzedaż! I tu znowu pomieszana Szwajcarja i Polska: obok stoisk z polskiemi wyrobami niby ludowemi (ceramika ćmielowska, tkaniny nowogródzkie, figurki, zabawki i t. p.) rozstawiono nieco mebli, zarówno dawniejszych jak współczesnych, wy-



Zamek w Rapperswilu *Fot. J. Gryca*



Rapperswil — Fot. J. Grycz

konanych przez rapperswilskiego stolarza. Na ścianach pozawieszano obrazy jakiegoś szwajcarskiego malarza, na pozostałych zaś miejscach przyczepiono pluskiewkami nowe odbitki sztychów francuskich (przeważnie o treści *galante*) oraz marne ryciny starych mebli. Wystawcą jest pewien antykwarjusz z Zurychu, sprzedaż powierzono dozorcy zamku. Dla wywołania nastroju starożytnego, poczciwy dozorca wystawił w kilku mniejszych pokojach oraz na wieży różne stare rupiecie, jak dzbany, misy, latarnie, dawne szwajcarskie przyrządy gospodarstwa domowego, jakąś szablę i żelaziwo.

Ale najboleśniej dotknęło mnie, że wśród tych „eksponatów" spotyka się tu i owdzie po kątach jakieś poniszczone portrety i poobijane popiersia wybitnych Polaków, o których dozorca informuje, że „to jeszcze polskie", „to t a k pozostawili Polacy, którzy tu mieli muzeum". Z czasów tych pozostało tam jeszcze nieco mebli, uszkodzonych i bez wartości. „Oficjalnie" niejako przypomina o Polsce gablota w hallu, w której umieszczono szereg widoków krajoznawczo-turystycznych, mocno już podniszczonych.

Dlaczego tak jest, poco Polska trzyma ten zamek? Te pytania narzucały mi się, gdy chodziłem po tych salach, które lepiej — zaprawdę — było pozostawić choćby puste, jako dawny, dziś opuszczony szaniec walki o wolność. Czemu pozwolono na taką ich poniewierkę — i to pod firmą polską! Cóż za niefortunna propaganda!

Ale może projekt D-ra Lewaka dałby się jednak zrealizować? Mając to na myśli, zapytałem o stan budynku, o dachy, okna, oświetlenie, ogrzewanie, o bezpieczeństwo pomieszczonych tu ewentualnie wystaw, wreszcie o frekwencję zwiedzających. Gdy z najwyżej położonych okien wieży spojrzałem z kilku stron na dachy nad salami i krużgankami, widok był przestraszający. Oto podczas jednej z zeszłorocznych burz wicher pozrywał wiele dachówek, które, spadając na niżej położone dachy, porozbijały dalsze dachówki, niszcząc w ten sposób duże połacie pokrycia zamku. Położenie jest tragiczne, gdyż naprawa dachówkami możliwie staremi i już nieco spatynowanemi przy bardzo utrudnionym dostępie do strzelistych dachów wymaga pokaźnych funduszów, których pono niema. Na razie łata się więc gospodarskim sposobem co groźniejsze dziury, ale radykalnego usunięcia zla nie można się w najbliższej przyszłości spodziewać. Zwłaszcza, że remontu i wkładów potrzeba i gdzieindziej. Ramy okienne zmurszałe, niektóre okna pozabijane deskami. Oświetlenie elektrycznością urządzone po domowemu zapomocą zwisających swobodnie drutów w gumowej izolacji. Centralne ogrzewanie od dawna niesprawdzane. Na wypadek pożaru są wprawdzie hydranty, ale węże, zbutwiałe całkowicie, leżą złożone w szopie, niezdatne do użytku.

Czy wobec takiego stanu zamku opłaci się przeprowadzać kosztowne remonty i inwestycje, któreby umożliwiły realizację projektu D-ra Lewaka? Czy tak dużych wkładów wymagająca propaganda zagraniczna przyniosłaby naprawdę opłacające się wyniki? Zwłaszcza wobec zmniejszającej się, jak mi mówiono, frekwencji turystów, którzy zresztą, zgodnie z zamiłowaniami obecnej doby, i w Rapperswilu interesują się raczej jeziorem i jego możliwościami sportowemi. Czy nie lepiej oddać jak najrychlej zamek Szwajcarom — ale i to, na Boga! nie w takim stanie, w jakim się obecnie znajduje.

Nie wiem, jak sprawa zostanie rozstrzygnięta, wiem tylko, że tak jak jest obecnie, pozostać nie może, poprostu dla honoru Polski!

*JÓZEF GRYCZ*

# WYSTAWA TYCJANOWSKA W WENECJI

Wystawa Tycjanowska w Wenecji otwarta z inicjatywy rządu włoskiego 25 kwietnia i mająca trwać do 5 listopada r. b. jest pierwszą wogóle wystawą zbiorową dzieł Tycjana, zawiera bowiem wszystkie bezmała jego prace zgromadzone nietylko z całych Włoch, ale i z innych krajów Europy, zwłaszcza z Francji i Austrji. Katalog wystawy wyszczególnia kilkaset pozycyj od minjatur nieledwie do kilka metrów kwadratowych liczących wielkich malowideł. Wspaniały pałac średniowiecznych potentatów weneckich, Pesarów, stał się w okresie trwania wystawy sercem Wenecji. Pozatem możnaby go tak nazwać również i z innego względu, leży bowiem w samym środku miasta, nad główną arterją kanałów miejskich (Canal Grande), w otoczeniu najpyszniejszych okazów średniowiecznej architektury weneckiej. Prócz tego pałac Pesaro ma niejaki związek z osobą Tycjana, ponieważ istnieje przypuszczenie, że niejednokrotnie w nim gościł, na poparcie czego możnaby wymienić obraz przedstawiający jednego z rodu Pesarów, Jakóba, klęczacego w towarzystwie papieża Aleksandra IV przed figurą św. Piotra. Stosowniejszego zatem miejsca na tę wystawę nie można było znaleźć chyba już nigdzie.

Okazuje się, że największą ilość obrazów tycjanowskich posiada Florencja, mianowicie Galerja Uffizi, potem idzie Wenecja, potem Wiedeń, potem Paryż, potem dopiero Rzym, a wreszcie inne miasta włoskie, jak Neapol, Medjolan, Brescia, Treviso. Rzecz charakterystyczna, że Paryż gromadził przeważnie obrazy, przedstawiające sceny zbiorowe, Wiedeń zaś portrety dożów i panów weneckich. W tej subtelnej różnicy wyboru kryje się cała socjologja smaku estetycznego tak odmienna w demokratycznej Francji i w byłej cesarsko-królewskiej Austrji. Ujmując obrazy Tycjana z punktu widzenia tematycznego, można dojść do niesłychanie ciekawych wniosków, obserwując, jakie obrazy Tycjana ze względu na swój temat wędrowały do jakich miast. Rzym, Neapol, Paryż i Wiedeń gromadziły obrazy o przewadze treści świeckiej, zaś obrazy o treści religijnej spotykamy przeważnie w miastach prowincjonalnych włoskich. I tak słynny *Św. Sebastjan* znajduje się w kościele S. S. Nazzaro e Celso w Brescii, *Św. Hieronim na pustyni* w Medjolanie, *Zwiastowanie* w Trevizie, *Święta Rodzina (Madonna delle Rose)* we Florencji, *Św. Jan Chrzciciel*, *Św. Marek* i *Archanioł z Tobiaszem* w Wenecji, żeby wymienić tylko najważniejsze. Ale np. *La Venere del Pardo* znajduje się w Paryżu, *L'apprestamento d'amore* w Rzymie, *Danae* w Neapolu, *Giovane donna con Pelliccia* w Wiedniu. Mimo to jednak Florencja pozostanie największem jak dotąd „środowiskiem sztuki tycjanowskiej", ponieważ zawiera jej najwięcej i najróżnorodniejszej, bo w skali: od *Św. Wincentego*, poprzez *Magdalenę* i *Florę* aż do zmysłowych nagości *Venere di Urbino* i *Venere sdraiata*.



TYCJAN — Magdalena

Patrząc na doskonale zharmonizowane w całości kompozycyjnej, na precyzyjnie wykończone w najdrobniejszych szczegołach obrazy Tycjana, zdumiewamy się, ile siły żywotnej i młodzieńczej świeżości spojrzenia miał ten niemłody już człowiek, wyglądający z portretu raczej na dostojnego ascetę, niż na ekstatycznego lubownika życia we wszystkich jego przejawach. Wszystko, co podpada pod odczucie pięciu naszych zmysłów, jak z pod pięciolinji nutowej przelewało się z niego muzyką na płótna! Obrazy Tycjana nietylko emanują ze siebie barwę, ale jakby i dźwięk, zapach, dotyk, smak. *Św. Sebastjana* przytroczonego do drzewa i przeszytego jedną jedyną strzałą poprostu się słyszy. Albo któż nie odczuł jakiejś wilgotnej atmosfery leśnej, patrząc na *Św. Hieronima na puszczy*, albo kto nie odczuł aksamitnej świeżości ciała *Venery* wenecjańskiej?

Szczególik każdy w obrazach Tycjana jest sam w sobie zamkniętą, odrębną i skończoną



TYCJAN — Flora

całością, doskonale jednak zharmonizowanym z ogólną kompozycją obrazu. Niektóre obrazy można poprostu dzielić na kilka odrębnych części, a każda z nich robić będzie wrażenie doskonałej całości, jak np. *Venere di Urbino*, *Venere del Pardo*, *S. Girolamo nel deserto* i wiele innych. Cała ogromna skala, w jakiej się wyraża poczucie świata rzeczywistego u Tycjana, obejmuje nietylko twarze, ciała i postaci ludzkie, ale również rozmaite przejawy i twory przyrody zarówno żywej jak martwej. Porównajmy naprzykład tak odmienne „nastroje leśne" jak w obrazie *Św. Hieronima* i *Venere del Pardo*, albo żywy przepych materji martwej w ubiorach na obrazie *La Bella* i *Portrecie Piotra Aretina*. A świat zwierząt, obdarzonych poprostu duszą przez Tycjana i to w malarstwie pierwszy raz dopiero przez niego! Zwróćmy uwagę, naprzykład, na psa w obrazie *Venere sdraiata*, *Venere di Urbino*, *Archanioł i Tobiasz*. Są jakby ostatnim dźwiękiem nastroju w obrazie, ostatnią niezbędną jednak nutką, wykańczającą precyzyjnie całość kompozycji. A przytem jak trafnie podpatrzony charakter psiej psychiki, wyrażającej się w specjalnym ruchu ciała i układzie mięśni stosownie do nastroju i sytuacji, rzecby można, przeżyć zwierzęcia.

Cała pogańskość duszy Tycjana w tem się właśnie przejawia, pogańskość, która wraz z reminiscencjami ze świata starożytnego tak ożywczo wpłynęła na całą wogóle sztukę renesansu. Pogańskie umiłowanie cielesności w Tycjanie właśnie (tak jak w rzeźbie Michała Anioła) święci największe swoje tryumfy. To tylko jedyny Rubens malował o wiele później tak i takie ciała, lecz był mniej od Tycjana rewolucyjny, gdyż malował, że tak powiem, ciała świeckie, a Tycjan również ciała świętych. Madonna Tycjana pod względem powabu cielesnego niczem się prawie, prócz gestu zewnętrznego, nie różni od Wenery, a postać świętego *(Św. Wincenty)* od postaci doży lub kupca weneckiego. W tym sensie cała katolickość Tycjana podobna jest do tej błyskotliwości powierzchownej szat i sukien, w które przybrane są jego Madonny; gdy je z nich rozebrać, okażą się wszystkie Wenerami. Pokutujące jeszcze resztki średniowiecza z podziałem świata na materję i ducha w takiej oto postaci demonstrują się w twórczości Tycjana.

I tu natrafiamy na dziwny paradoks. Postaci świętych tycjanowskich są bardziej korpulentne, obfite w ciało i zmysły, niż portrety osób jemu współczesnych. Cóż za wspaniałe ciało ma św. Sebastjan w porównaniu z takim choćby Filipem II, lub św. Hieronim w porównaniu z papieżem Pawłem III, choć w wieku między nimi niema prawie żadnej różnicy. To samo zjawisko zachodzi, gdy porównamy którąkolwiek Madonnę Tycjana z portretem którejś z dam np. Julji Varano. Ziemskość postaci wyraża się w ich ascetyźmie, zaś boskość świętych w obfitości i dostatku, rzecby można w przepychu ich ciała. Ten szczegół jeszcze raz podkreśla niezbitą prawdę o pogańskości spojrzenia Tycjanowego na świat i — zaświat. Niebo mierzył ziemią, a boskość i uduchowienie cielesnością. Wszystko to, co namalował z fantazji czyli co było rezultatem najgłębszej jego tęsknoty, jest zmysłowe i pełne materji, wszystko zaś jemu współczesne, postaci i rzeczy, które portretował z natury, noszą cechy ascetyzmu i niejako ubóstwa, jakby na potwierdzenie, że świętym w niebie jest lepiej, niż żywym na ziemi.

To jest żart, jednak zawiera nietylko połowę, lecz całą prawdę. Tak na świat zaczął patrzeć renesans i tak też widział go Tycjan. Pokazał ciało ludzkie, jako naczynie przejrzyste, pełne ducha i zależne całkowicie w swoich formach i egzystencji od ducha. Z drugiej strony zdawał się mówić, że ciało jest jedynym instrumentem, który wyraża ducha. Ani cierpieć, ani radować się nie mógłby duch bez ciała. Podniesienie więc ciała ludzkiego i materji wogóle z średniowiecznej prostracji do godności czegoś boskiego było w obrazach Tycjana czemś rewolucyjnem i przełomowem na ówczesną epokę, a i dziś chyba jeszcze nie przestało być aktualne.

*MARJAN PIECHAL*

# NIEZNANY LIST MARSZAŁKA DAVOUST DO GENERAŁA ZAJĄCZKA

W zbiorach w Sulistrowej znajduje się między innemi rękopisami list oryginalny marszałka D a v o u s t, księcia Neufchâtel, do generała Zajączka, stacjonowanego podówczas w Kaliszu. List ten datowany jest z Warszawy dnia 17 kwietnia 1808 roku, a więc na cztery miesiące przed opuszczeniem przez Davousta stolicy Polski, gdzie był głównodowodzącym, po zdaniu najwyższej władzy wojskowej w ręce księcia Józefa Poniatowskiego.

Dziwnem wydaje się, że list ten w czysto służbowych sprawach nie szedł przez kancelarję księcia Józefa, jako ministra wojny. Dwa są jednak tego powody. Najpierw śmiertelna nienawiść generała Zajączka do księcia Józefa, z którą jednak możeby Davoust mniej się liczył, gdyby nie drugi powód, a to rozkaz Napoleona, nakazujący Zajączkowi utworzenie dziewięciotysięcznego korpusu obserwacyjnego na granicy austro-pruskiej, niezależnego od ministra wojny Poniatowskiego. Według Askenazego (*Książę Józef Poniatowski*, Poznań, 1913) miał Zajączek prawo porozumiewania się bezpośredniego z marszałkami Berthier i Massena, jak zaś z przytoczonego poniżej listu wynika, i z marszałkiem Davoust.

Książę Neufchâtel był — jak twierdzi Askenazy — bardzo podejrzliwy i wszędzie wietrzył zdradę i tajne knowania. Dowodem tego najlepszym treść naszego listu.

Sam list jest napisany przez pisarza adjutantury, tylko podpis jest ręki marszałka. Dokument ten obejmuje połowę arkusza formatu kancelaryjnego, zapisanego jednostronnie, ze znakami wodnemi w formie prążków, przebiegających przez całą długość arkusza, oraz liter I. M. znajdujących się w samym środku arkusza.

Poniżej podaję oryginalny tekst francuski i tłumaczenie polskie.

Varsovie le 17 avril 1808.

J'ai reçu, Mon cher Général, votre lettre du 12 du courant. Il me suffit de vous savoir à Kalich pour être parfaitement tranquille sur le bon esprit du pays; et quelque démarche, que l'on puisse faire pour se donner de l'Importance, J' espère qu'on ne parviendra pas à m'abuser.

Je pense comme vous que ces allemands ne sont dangereux que pour l'espionage. Si, ce que je ne présume pas, les circonstances me faisaient craindre leurs mauvaises intentions, Je prendrai certainement des mesures; mais d'ici là Je ne puis que faire des voeux pour qu'on ne suive plus cet absurde système d'employer de préférences des étrangers ennemis des nationaux aux nationaux eux mêmes plus interessés au bon ordre et au bonheur du pays.

Vous saurez bien Mon cher Général, dans vos conversations avec le Préfet de lui prêcher cette morale; mais il n'est bien entendu qu'il n'y a rien d'officiel dans ce que je vous écris confidentiellement comme à un bon polonais.

Agréez Mon cher Général l'assurance de mon estime et de ma considération distinguée.

Le Maréchal
*Davoust.*

Mr. le Général de division Zayoncheck.

Po polsku brzmi to mniejwięcej, jak następuje:

Warszawa, 17 kwietnia 1808.

Otrzymałem, Panie Generale, pański list z 12 bieżącego miesiąca.

Wystarcza mi świadomość pańskiej bytności w Kaliszu, żeby być zupełnie spokojnym o lojalność prowincji, a sądzę, że nie omieszka Pan przedsięwziąć kilku posunięć, aby zyskać na powadze.

Myślę tak jak i Pan, że ci Niemcy są niebezpieczni tylko ze względu na akcję szpiegowską. Jeżeli, czego nie przewiduję, okoliczności zmusiłyby mnie obawiać się ich złych zamiarów, powezmę naturalnie ostre środki zaradcze, ale narazie mogę tylko wyrazić życzenie, żeby nie trzymano się nadal tego niedorzecznego systemu dawania pierwszeństwa obcym nieprzyjaciołom obywateli kraju przed tymiż obywatelami więcej zainteresowanymi porządkiem i szczęściem kraju.

Zrobi Pan dobrze, Panie Generale, zalecając w swoich rozmowach z Prefektem ten system, ale rozumie się samo przez się, że nic niema oficjalnego w tem, co ja do Pana piszę poufnie, jako do dobrego Polaka.

Niech Pan przyjmie, Panie Generale, zapewnienie o moim szacunku i wysokiem poważaniu

Marszałek

*Davoust.*

Pan Generał dywizji Zajączek.

*ROMAN PETELENZ-ŁUKASIEWICZ*

# „PIEŚŃ UJDZIE CAŁO..."

W recenzji prof. Juljana Krzyżanowskiego z mojej książki *Zagadnienia autorstwa Bogurodzicy*[1] znalazł się szereg niedokładności, których sprostowanie uważam — w imię prawdy — za swój obowiązek.

1) Pisze prof. Krzyżanowski, jakobym na łamach *Pionu* „streszczał wyniki" mej książki w ten sposób, iż „to, co jest w najlepszym razie domysłem" podaję „jako rzeczy pewne i ustalone". Nie chodzi mi o formalną stronę tego zdania, o to mianowicie, że artykuł mój — nie będący wcale „referatem autorskim", lecz odczytem wygłoszonym, na zaproszenie Polskiego Radja, nie dla specjalistów, tylko dla szerokiej publiczności — bynajmniej nie „streszcza wyników" mej książki. Natomiast dziwią mnie słowa o tych „domysłach", którym rzekomo przypisałem charakter „rzeczy pewnych". Każdy, kto czytał artykuł mój w *Pionie*, przekonać się może, że jako „rzeczy pewne i ustalone" podałem tam tylko następujące fakty: *a)* wbrew starym sądom Nehringa (1884) i Bobowskiego (1885) rymy istniały nietylko w wieku X, ale i o wiele wieków wcześniej; *b)* wbrew mniemaniom Brücknera św. Wojciech nietylko nie był prześladowcą obrządku wschodniego, ale właśnie najserdeczniejszym przyjacielem mnichów greckich, do których grona pragnął być przyjęty; *c)* wśród tych mnichów najważniejszą postacią, a św. Wojciecha najgorętszym przyjacielem i kierownikiem duchowym był św. Nilus hymnograf, kierownik szkoły hymnograficznej, o s t a t n i e j wogóle w dziejach literatury greckiej; *d)* dotąd nikt nie znalazł naukowego argumentu, któryby dowiódł, jakoby kanclerz Łaski popełnił jakiekolwiek fałszerstwo czy mistyfikację. Wszystkie te cztery fakty uważam i teraz za p e w n e i u s t a l o n e: *a)* rymy istniały już w starożytności i nawet miały wtedy swych teoretyków (od Gorgjasza począwszy), w średniowieczu używali ich od IV wieku począwszy św. Ambroży i Augustyn, Sedulius, Romanos i t. d., w VIII wieku teorję rymów opracował autor *De arte metrica.* Beda venerabilis, w X zaś wieku rymowanie było zwyczajem powszechnym, o czem przekonał się każdy, kto naprawdę studjował dzieje hymnografji; *b)* na fakt, że św. Wojciech nietylko nie prześladował wschodniego obrządku, ale mu sprzyjał gorąco, zwracali uwagę niebylejacy uczeni, bo Lelewel, Anatol Lewicki. Prochaska i t. d., a wszyscy opierali się nie na niedokładnej pamięci (co się niestety przytrafiło prof. Brücknerowi), ale na źródłach historycznych; *c)* znaczenie św. Nilusa i jego szkoły hymnograficznej w dziejach kultury europejskiej wieków średnich zostało dawno oświetlone przez Krumbachera. Rocchiego, Palmierego, Lenormanta, Rambauda, Schlumbergera i innych, którzy już samą biografję Nilusa (Patr. gr. 120), napisaną przez opata grottaferrackiego Bartłomieja, uważają jednogłośnie za najważniejszy dokument do dziejów panowania Ottona III; *d)* od czasu wydrukowania mego artykułu w *Pionie* nikt nie wysunął nowego argumentu przeciwko Łaskiemu, pozostał zatem *status quo ante*, czyli w najlepszym razie stan subjektywnego niedowierzania.

2) Zastosowana przez prof. Krzyżanowskiego interpretacja terminu *kontakion* jako „odmian pozdrowienia anielskiego" świadczy o nieznajomości terminologji zarówno hymnologicznej jak liturgicznej, o pomieszaniu terminów zgoła różnych: *kontakion* i *theotokion*. Są to terminy zasadnicze, a wyjaśnienie ich można znaleźć w każdej książce czy to o liturgji greckiej czy o literaturze bizantyńskiej.

3) Podobne pomieszanie pojęć widzimy zresztą i w słowach prof. Krzyżanowskiego o liturgji rzymskiej. Już to pomijam, że nie istnieje jakaś jedyna liturgja „katolicka", gdyż jest tych liturgij kilka, nawet gdy weźmiemy pod uwagę te, które posługują się łaciną (rzymska, medjolańsko-ambrozjańska, mozarabska, gallikańska). Ale ważniejsze jest to, że recenzent nie zdaje sobie sprawy z różnicy między „mszą" i „ministranturą", biorąc te terminy synonimicznie.

4) Z tej niefachowości liturgicznej prof. Krzyżanowskiego wynikają wszystkie dalsze jego domysły („m o ż e m y przypuścić", „pisarz m ó g ł zastąpić", „zawierający m o ż e pogłosy Bogurodzicy"), które nie mają żadnej podstawy. Otóż ja, polemizując z prof. Brücknerem co do rzekomych „niezwykłości" w wyrażeniach „Bogurodzicy", stwierdzałem, że znaczna część tych wyrażeń (bynajmniej jednak nie wszystkie!) jest wspólną własnością całego Kościoła. W mszy rzymskiej, cytowanej dla przykładu, g a r ś ć tych wyrażeń jest rozsypana na przestrzeni dość znacznej, co skrupulatnie zaznaczyłem w mej książce wielokropkami co parę słów; niektóre wyrażenia są w ministranturze (modlitwach u stóp ołtarza), zwłaszcza w *Confiteor*, ale reszta znajduje się w dalszych częściach mszy katechumenów, które są oddzielone od tamtej różnemi modłami i psalmami, a więc w części *Introit* i w *Kyrie*. Z w a r t e g o więc tekstu, któryby odpowiadał chociaż jednemu wierszowi „Bogurodzicy", we mszy rzymskiej wcale nie spotykamy, tem bardziej, że brak w niej wielu charakterystycznych wyrażeń, jakie — za wzorem greckich tekstów — znajdujemy w naszej pieśni. Z tego, że wspomniałem — jako w danem miejscu aktualny i potrzebny do wyjaśnień dogmatologicznych — termin *Theotokos*, prof. Krzyżanowski wysnuł przedwczesny wniosek, jakoby dość było ten wyraz dodać, a jużbyśmy mieli „Bogurodzicę" w „ministranturze katolickiej". Sprawa jednak nie przedstawia się tak prosto. Przedewszystkiem w tej „ministranturze" nie spotykamy wcale odrębnej modlitwy do Matki Boskiej, a więc czegoś, coby było odpowiednikiem greckiego „zdrowaś", tem samem zaś odpowiadało pierwszej zwrotce „Bogurodzicy". Brak zatem i odpowiednika tego wyrażenia, które ma już conajmniej od szesnastu wieków całą „literaturę" w teologji: wyrażenia *kecharitomene* z pozdrowienia anielskiego. Wyrażenie to — jak i jego forma podstawowa *charitoo* — jest czemś niezwykłem w greczyźnie: występuje t y l k o r a z w całem Piśmie św. (Łuk. 1,28), dopuszcza więc wieloraką interpretację. Tłumacze ruscy pomieszali to wyrażenie z *kecharemene* (od *chairo)* i przełożyli: *Radui sę obradowannaja...* Natomiast Grecy kalabryjscy i rzymscy wieku X, a następnie ich uczniowie, łacińscy hymnografowie szkół St. Gallen, Reichenau, Leodjum, Nonantoli, a nawet oporni wobec reformy klunjackiej kasyńczycy tegoż wieku, przyjęli interpretację odmienną, św. Atanazego i kilku innych pisarzy kościelnych, którzy *kecharitomene* objaśniali jako synonim *eklelegmene* — „wybrana", odpowiadający dokładnie staropolskiemu i czeskiemu „zwolena". Podobnie w hymnografji maryjnej łacińskiej wieku X i pierwszej połowy w. XI spotykamy tu stale termin *praeelecta*, mimo że w łacinie kościelnej już dawniej była w użyciu interpretacja Wulgaty *gratia plena* „łaskiś pełna", która utrzymała się do naszych czasów.

5) O innych uwagach prof. Krzyżanowskiego na temat *Theotokos* — zaczerpniętych przez niego z literatury Pilata (t. I, cz. 2, str. 82) — nie będę się rozwodził, gdyż na temat owego tekstu Ciołka już dawno napisałem artykuł specjalny, w którym wykazałem różne nieścisłości w informacjach tego źródła; artykuł ten ukaże się w najbliższym zeszycie *Ruchu Literackiego*, niestety spóźnionym o parę miesięcy (kwietniowym!). Tu tylko zauważę, że Ciołek, ani nikt z tych ludzi, co do których prof. Krzyżanowski snuje swe przypuszczenia, nie mógł korzystać z dzisiejszego tekstu liturgji rzymskiej, ta bowiem uległa pewnym reformom... przeszło w sto lat po śmierci Ciołka, na soborze trydenckim...

6) Mniema prof. Krzyżanowski, jakobym to j a wysunął przypuszczenie, że kanclerz, a niebawem prymas Łaski korzystał „z urzędowego archiwum katedry gnieźnieńskiej". Za wielki to dla mnie splendor. Żadnych domysłów prywatnych, żadnych „sądów" osobistych nie wysuwałem w tej mierze. Wiadomość o pochodzeniu tradycji „świętowojciechowej" z archiwum nietylko katedry gnieźnieńskiej, ale i innych katedr, co zaś najważniejsze, z a r c h i w u m k o r o n n e g o, podał s a m Ł a s k i w uroczystem i obowiązującem zapewnieniu, które zacytuję tu dosłownie: *Tametsi aeraria Regni publica, velut antiquitatis domicilia, monimenta contineant admiranda, in privilegiis et vetustissimis scriptis, bullis aureis, metallinis et cereis signatis, tamen ex illis, quam sacrarum aedium testimoniis constat: non alium, quam divum olim Adalbertum Rosensium... tanquam Polonorum apostolum, primam sed divinam regibus et nationi Polonae sanctionem sub uno cantici textu „Dei Genitrix", quod vulgari „Bogarodzica" legitur, edidisse.* Wolno prof. Krzyżanowskiemu nazwać Długosza „doskonałym znawcą archiwum kapituły gnieźnieńskiej", choć na tę „doskonałą" znajomość u kanonika krakowskiego dowodu ścisłego nie mamy, owszem nawet są fakty, które jej przeczą[1]; jeżeli zasłużony ten historyk trudzić się nie potrzebował grzebaniem w tem archiwum, bo mu gotowych materjałów dostarczył przez swych sekretarzy arcybiskup Sieneński, to co do Łaskiego mamy wiele dowodów, że znał dobrze zawartość podległych mu archiwów, a więc i kapitulnego gnieźnieńskiego, co więcej, że opiekował się niem gorliwie, jak nikt drugi, i to przez lat wiele; przekonać się o tem łatwo nietylko z wielu prac o Łaskim (począwszy od gnieźnieńskiego *Liber beneficiorum*, wydanego niegdyś z obszernemi komentarzami przez dobrego znawcę owego archiwum, ks. Korytkowskiego), ale przedewszystkiem z akt kapituły gnieźnieńskiej, wydanych w tak obszernym a naukowo ścisłym wypisie, zawartym w XIII tomie *Mon. Pol. medii aevi historica.*

7) Prof. Krzyżanowski utrzymuje, że „Długosz tradycji o autorstwie św. Wojciecha nie zna, inaczej bowiem byłby ją napewno wspomniał". Owo „napewno" jest ryzykowne i zbyt śmiałe. Tysiącznych rzeczy nie wspomina historyk i wogóle literat czy uczony, a z tego bynajmniej nie wynika, jakoby ich nie znał. Wertując niedawno bibljotekę Sienkiewicza w Oblęgorku, znalazłem w niej dziesiątki takich dzieł i takich autorów, o których pisarz ten nie wspomniał ani razu, a przecie znał ich wybornie: byli wśród nich autorowie, o których niedawnym czasem również „napewno" twierdzono, że ich Sienkiewicz nigdy w ręce nie miał... Chyba i prof. Krzyżanowski, jako zasłużony i niepospolity erudyta w dziedzinie historji literatury (Długosz historykiem literatury nie był), nie wspomina w swych cennych pracach o w s z y s t k i c h dziełach i autorach, z jakimi miał kiedykolwiek do czynienia, nie zużytkowuje wszystkich zapasów wiadomości, jakie posiada: naodwrót, posunę się do twierdzenia, że we wszystkich (oby najliczniejszych) dziełach naukowych, jakie kiedykolwiek napisze, ujawni nam tylko część swej ogromnej wiedzy; nie będzie to wcale znaczyło, że sprawy, których nie poruszył, były mu nieznane. Więc też i Długosz, co wielu innych spraw nie zdołał czy zapomniał umieścić w swej historji[2], zadowolił się co do powszechnie znanej pieśni (którą śpiewał i jego ojciec pod Grunwaldem) utartym naówczas terminem *patrium carmen*, użytym zresztą przez niego już dawniej, pod rokiem 1208. Że przymiotnik *patrium* nie jest tu synonimem „pieśni w języku narodowym", jak to niektórzy mniemali, dowód chociażby ten, że taką pieśń określano stale innym terminem: *vulgaris*, stosowanym do wszystkich utworów nie-greckich i nie-łacińskich (por. Dantego *De vulgari eloquentia*)... W odniesieniu do „Bogurodzicy" termin poprzedni, przypominający greckie *patroon asma* (pieśń przekazana od ojców, starowieczna), spotykamy już w dokumencie z pierwszych lat XV w. *(Chronicon conflictus)...* Ale wróćmy jeszcze do Długosza. Prof. Krzyżanowski mówi, że tradycja „gnieźnieńska" (zgodzę się na ten termin, jakkolwiek Łaski, gdy ją zapisywał, nie był jeszcze prymasem gnieźnieńskim, ale pretendując dopiero na to kościelne stanowisko, piastował urząd kanclerza, a więc stróża archiwum k o r o n n e g o) sięga w uchwytnym swym początku — czasów Długosza. Sądzę tedy, że nasz historyk, gdyby miał jakiekolwiek wątpliwości co do owej tradycji, nie omieszkałby jej obalić, a conajmniej przeciwko niej zaprotestować. Tymczasem co widzimy? Długosz milczy. „Jak to milczenie historyka wytłumaczyć?" — zapytuję za prof. Krzyżanowskim. Przypomnę starą zasadę: kto milczy, ten nie przeczy... Często nawet potwierdza.

Nie będę się powoływał na cieszyński rękopis „Bogurodzicy", głoszący autorstwo św. Wojciecha, a zawierający m. in. modlitwę za króla polskiego i jego brata, czyli — jak się powszechnie mniema — za Aleksandra lub Zygmunta I oraz Władysława Jagiellończyka *(rex bene).* Napomknę tylko, że prof. Brückner w r. 1923 bardzo nieopatrznie odniósł tę wzmiankę do starszych Jagiellonów: Warneńczyka i Kazimierza Jagiellończyka (wówczas jeszcze nie króla), synów królowej Sonki, przez co niechcący cofnął „tradycję gnieźnieńską" do lat trzydziestych XV wieku.

8) Zapytuje prof. Krzyżanowski, „co sprawiło, że archaiczna pieśń, zawierająca sporo niełatwych do zrozumienia wyrażeń, brzmiała w ustach rycerstwa przed bitwami i podczas koronacji". Wyrażając wdzięczność recenzentowi, że przyznał „Bogurodzicy" charakter archaiczny, a więc poszedł na rękę tezom mej książki (gdyż wiadomo, w jakich wypadkach pieśni sakralne zachowują swój typ archaiczny), wyrażę zdziwienie z powodu wyrzutu, iż rzekomo „pytań tych nie próbuję postawić". Owszem, oba pytania powyższe zadałem sobie na kartach mej książki. Że odpowiedziałem na nie zbyt lakonicznie — więc niewątpliwie niewystarczająco — wynikło to stąd, że pozostało jeszcze do omówienia i rozwiązania wiele innych zagadnień związanych z „Bogurodzicą"; dlatego to już po ukazaniu się książki ogłosiłem kilka studjów dodatkowych, a i one wszystkiego nie wyczerpały. W każdym razie dałem i odpowiedź na owe pytania. Wspomniałem istniejącą już od Brunona kwerfurckiego etymologję: „Wojciech — wojska pociecha" — *consolatio exercitus*, którą dwukrotnie podchwytuje Łaski w swej interpretacji militarnego rzekomo przeznaczenia „Bogurodzicy"; wspomniałem też niejednokrotnie o tem, że pieśni zawierające *Kyrie eleison* (niekoniecznie musimy do nich przylepiać za Nehringiem nazwę laisów czy laichów, bo to tylko jeden z wielu wypadków zastosowania tej inwokacji!) były już w X i XI wieku śpiewane na koronacji; wiemy to np. o koronacji Ottona III (Bruno kwerf.) i Szczepana węgierskiego (t. zw. kronika polsko-węgierska).

9) Czy „tajemniczy" jest sposób, w jaki pieśni umiłowane przez naród potrafią przetrwać wszelkie katastrofy, a więc pożary i rabunki? Być może. „Tajemnica" ta w każdym razie nie przestaje być faktem, stwierdzanym wielokrotnie:

> Płomień rozgryzie malowane dzieje,
> skarby mieczowi rozkradną złodzieje,
> pieśń ujdzie cało...

A ujdzie chociażby dlatego, że się może zupełnie obywać bez pisma. Najważniejszemi warunkami życia pieśni, o których niezawsze pamiętają badacze, są: dobra pamięć, dobry słuch muzyczny i usta gotowe do śpiewania. No, i wreszcie miłość, bez której wszelka pieśń, według św. Pawła, jest jako miedź brząkająca...

10) Że milczeli o „Bogurodzicy" ci pisarze, którzy „między innemi pisali nawet żywoty św. Wojciecha" (jak się wyraża prof. Krzyżanowski) — cóż z tego wynika, choćby tak było? Ale jest w rzeczywistości trochę inaczej. Dotychczas wiadomo tylko o j e d n y m pisarzu, który „między innemi" — t. j. prócz innych dzieł — napisał też żywot św. Wojciecha: był nim Bruno kwerfurcki. O autorze starszym, który dał *Vita I*, nie wiemy nawet, kim był — Gaudenty czy Kanaparz czy Canapari — i czy co ponadto napisał, poza wierszami, jakie były na grobie Kanaparjusza i może przez niego były skomponowane. W każdym razie obaj autorowie żywotów, ludzie wiarygodni, bo znający świętego Wojciecha bardzo blisko i jemu współcześni, stwierdzają zgodnie trzy rzeczy: a) że św. Wojciech znał się na muzyce, był miłośnikiem śpiewu, doceniał jego znaczenie w pracy apostolskiej i umiał komponować pieśni, b) że żywił niepospolite nabożeństwo do Matki Boskiej, c) że zupełnie swobodnie porozumiewał się w konwersacji z władcą polskim, którego był przyjacielem.

10) Czy hipoteza o Kindze tyle warta co o św. Wojciechu? Bynajmniej! Hipoteza o Kindze powstała dopiero w wieku XX, tradycja zaś o św. Wojciechu jest zadokumentowana o pół tysiąca lat wcześniej. Hipoteza prof. Brücknera opierała się na jednym uchwytnym szczególe, a mianowicie na legendzie pobożnej o św. Kindze, czyli na przeróbce starych legend... z czasów merowińskich (gdzie jest źródło wielu innych naszych legend, o św. Emeryku, zresztą mocno podobnej do legendy o Kindze i t. d.). Natomiast tradycja, odnosząca powstanie pieśni naszej do w. X lub pierwszej połowy w. XI, niedość że zawsze miała obrońców między uczonymi (Jagić, Prochaska, Potkański, pomijany niesłusznie ks. Knothe, ks. Surzyński), ale — nawet gdybyśmy nie dawali wiary świadectwu Łaskiego o dokumentach skarbca koronnego i archiwów katedralnych — poparta jest dziejami liturgji (bez echa kiedyś przeszły uwagi Jagića, a raczej uległy przekręceniu przez polskich recenzentów, którzy nie rozumieli terminów liturgicznych!), nadewszystko zaś dzie-

---

[1] Por. *Pion* Nr 38 (103)

[1] Choćby to, że w swej historji podał błędne daty zjazdu gnieźnieńskiego oraz innych faktów związanych z ustanowieniem arcybiskupstwa w Gnieźnie.

[2] Możnaby dowodzić, że Dł. n i e z n a ł a r c h i w u m g n i e ź n., bo nie wspomniał różnych cennych zabytków, jakie się tam znajdowały i znajdują, a które spisał niedawno dzisiejszy kustosz, ks. Formanowicz.

jami hymnografji greckiej i łacińskiej, które zupełnie jasno wykazują, że jakiekolwiek wzory „Bogurodzicy“ zarówno w tekscie słownym, jak w rytmie (podobno i w melodji, jak dowiaduję się z lakonicznych narazie informacyj prof. Weingarta) znaleźć można j e d y n i e w zabytkach hymnicznych z przed połowy wieku XI, t. j. z przed wybuchu schizmy kościelnej. Kto nie wierzy, może sobie zadać podobny trud, jak ja: dokładnego przestudjowania pięćdziesięciu tomów *Analecta hymnica medii aevi*, wszystkich roczników pism *Byzantinische Zeitschrift* i *Wizantijskij Wremiennik*, kilkudziesięciu tomów patrologji greckiej, całych zbiorów zabytków hymnicznych greckich, łacińskich czy celtyckich (nie licząc dobrej setki dzieł specjalnych) — w których zgłębianiu miałem zresztą na celu nie same tylko zagadnienia związane z „Bogurodzicą“.

I dopiero po odbyciu takiego trudu, na który podobno w Polsce tylko trzech czy czterech ludzi się ważyło, będzie można osądzać, po czyjej stronie jest wiedza, a po czyjej fantazja w dziedzinie hymnografji.

*JÓZEF BIRKENMAJER*

# F I L M

## RODZINA WACUSIA.

Właściwie *Wacuś* nie zasługuje na recenzję. Wacusiowi i jego rodzicom można tylko ordynarnie nawymyślać. Film jest bowiem w ścisłem tego słowa znaczeniu — niżej krytyki. Leży tak nisko, że nie wystarczy schylić się, trzeba jeszcze długo schodzić w dół po schodach do jakichś mrocznych piwnic.

Ponieważ jednak polscy producenci chętnie zarzucają krytykom brak rzeczowości (a nawet patrjotyzmu!) — postaram się dokonać rzeczy niemożliwej: napiszę o *Wacusiu* spokojną recenzję. Ale po spełnieniu tego przykrego obowiązku nawymyślam jak król Ubu.

Pointą filmu jest jeden z warjantów tak zwanej „roli podwójnej“. Bohater musi jedną z dwóch postaci, jakie gra — *udawać*. Od pewnego czasu film polski nie może się bez tego obejść. Gdzieś kiedyś komuś udało się to zagranicą i teraz końca nie będzie rozmaitym lucynom, joasiom i wacusiom. Ostatecznie pal sześć, można się z tem pogodzić. Gorzej, że autorzy tych filmów nie znają zasad komizmu filmowego i nie wiedzą, do czego taki pomysł obowiązuje. Jak wiadomo, udawanie przez bohatera kogoś drugiego wymaga pewnego prawdopodobieństwa sytuacji, widz musi w możliwość czegoś podobnego uwierzyć, inaczej nie będzie zabawy. Tego lekceważyć nie można, kino to nie cyrk, gdzie wszelkie błazeństwa są dopuszczalne, gdzie konwencje są bardziej swobodne, gdzie widz na wszystko się godzi.

Dymsza gra dorosłego draba, ale musi także udawać sztubaka (postać fikcyjna, którą sam wymyśla). I udaje, proszę państwa, z powodzeniem, to znaczy, że inne postaci filmu dają się na to nabrać. Mistyfikacja trwa przez całą długość filmu i staje się czemś nie do zniesienia. Jak widzimy, założenie jest idjotyczne, niemożliwe i wskutek tego główne źródło komizmu wysycha odrazu, widz, o ile nie jest kretynem, bawić się *nie może*. Szkoda jeszcze, że nie kazali Dymszy udawać niemowlęcia. Przyjaciele aktora mogą oczywiście uśmiechać się, patrząc jak Adolfek błaźni się w krótkich portkach, ale będzie to śmiech z innej beczki, śmiech wywołany przez łechtanie a nie przez komizm.

Ciemnota rodziców *Wacusia* jest bezmierna, bo nawet w szczegółach, gdzie łatwo było o zachowanie elementarnych zasad gry, pakują nonsensy. Dymsza np. przebiera się w ułamku sekundy. Tak może robić magik estradowy, ale w kinie na takie rzeczy nie pozwala nawet najbardziej zwarjowana komedja (przynajmniej z gatunku realistycznych).

Aż wstyd, że o takich prostych sprawach trzeba panów filmowców pouczać.

*Wacuś* pretenduje do tytułu komedji muzycznej. Jestem przekonany, że gdyby tak wziąć na spytki rodzinę *Wacusia*, to niktby nie umiał powiedzieć, co to właściwie znaczy — komedja muzyczna. Definjując pojęcie najprościej, powiemy, że jest to pewnie taki typ komedji, gdzie element muzyczny przeważa, gra rolę dominującą. Można, rzecz jasna, podać definicje bardziej awangardowe, ale nawet tej najprostszej — *Wacuś* nie odpowiada. Muzyka w tym filmie (*notabene* podła) gra rolę mizerną, niczem się nie tłumaczy, wypełnia jedynie dziury między dialogami. Specjalnie ciekawe jest np. nieporozumienie z chórem Dana. Państwo sobie przypominają, że w *Miljonie* René Claira ruchy aktorów były czasem taneczne, że dialog był często rymowany, pomyślany jako melodja. Clairowi się udało, jazda — sprobujemy i my (albośmy to jacy tacy!). Niech sobie i nasi chłopcy pośpiewają do słuchawek telefonicznych, albo do ucha biednej Ćwiklińskiej.

Niestety, to co w filmie Claira miało głęboki sens, co nadawało całości specjalny charakter, co nawet stworzyło osobny styl i szkołę — to w naszym *Wacusiu* staje się zwykłem dziwactwem, nieporozumieniem.

Ani komedją muzyczną, ani komedją wogóle *Wacuś* nie jest. Nie jest także groteską. Sympatycy wacusiów i joaś wysuwają zwykle to słowo jako ostatni argument. Niby że groteska, panie dzieju, na wszystko pozwala i wszystkie nonsensy usprawiedliwia. Wyżej udowadniałem, że tak wcale nie jest. W zasadzie nic nie mam przeciwko wprowadzeniu do lokalu lombardu... konia (jest taka scena w omawianym filmie). To mogłoby być zabawne, gdyby rodzice *Wacusia* wiedzieli, co *dalej* z tym koniem robić... Bracia Marx, autorzy słynnych grotesek filmowych, potraktowaliby to tak: konia wprowadzają i nikt się temu nie dziwi, urzędnik taksuje go jak każdą inną rzecz i umieszcza w składzie obok parasola. Byłoby to podejście irracjonalne, możliwe też u nadrealistów francuskich, ale nie do pomyślenia w rodzinie *Wacusia*, gdzie nikt o Bunuelu czy Dali nie słyszał. Gorzej, że rodzinka zapomniała nawet o łatwej i prostej komedyjce Flipa i Flapa, gdzie *gag* z koniem został rozwinięty bardzo pomysłowo (pewnemu bogaczowi ginie bezcenny obraz znany pod nazwą *Błękitnego chłopca*. Tak samo nazywa się jakiś koń wyścigowy. Flip i Flap myślą, że chodzi właśnie o konia i przyprowadzają szkapę do domu bogacza. Bogacz jest na piętrze, goli się i myśli, że przyniesiono obraz. Przez zamknięte drzwi woła: postawcie go na fortepianie, i t. d.). Oto przykład pomysłu naprawdę komicznego, czemuż z tego wzoru nie skorzystano? Jeszcze raz powtarzam: można stosować w kinie najbardziej zwarjowane *gags*, ale opierać się one muszą na sytuacji, w którąby widz mógł uwierzyć.

O innych pomysłach tego nędznego filmu wspominać nie warto, powstydziłby się ich nawet clown z budy jarmarcznej. Wszystkie wołają wielkim głosem o policję.

Wogóle nie wartoby było rozpisywać się tak obszernie o tej bzdurze, gdyby to była bzdura zagraniczna. Ale *Wacuś* jest nasz, Wacuś uważa się za patrjotę, Wacuś chce być kochany, cacany, głaskany, nietykalny. Wacuś chce się rozwijać, krzyczy o forsę, coś plecie o artystycznych wysiłkach, o polskiej sztuce.

Wacuś jest groźnym pętakiem! Wacusiowi i jego rodzinie trzeba raz nareszcie ukręcić łby. Kto to zrobi, zasłuży sobie na wdzięczność całego narodu.

*

Długo nie miałem odwagi, żeby wejść do kina na *Dwie Joasie*. Bałem się, żeby to się nie okazały rodzone siostry matołka, o którym była mowa wyżej. Jakoż rzeczywiście, nie omyliłem się. Joasie są cokolwiek przystojniejsze, ale pokrewieństwo nie ulega wątpliwości, znamię kretynizmu jest i w tym wypadku zupełnie wyraźne.

*A. BOHDZIEWICZ*

P. S. Zasmuci wszystkich fakt, że w tej kompanji znalazło się też nazwisko świetnego poety, Tuwima. Tuwim jest autorem piosenek, które w tym kryminale śpiewają, i to jest ponure. Czyżby aż tak było źle, proszę pana, żeby pan się musiał godzić na podobną poniewierkę? Juljan Tuwim obok Napoleona Sądka — myślałem, że to się może zdarzyć tylko w tramwaju.

# PSYCHOLOGJA

PROF. ST. SZUMAN I DOC. ST. SKOWRON: *Organizm a życie psychiczne*. Warszawa 1934. „Nasza Księgarnia“.

Z pośród nauk przyrodniczych, które się wiążą z psychologją, najbliższą jej jest niewątpliwie biologja. Już Arystoteles pojmował psychologję jako specjalny odcinek biologji. Po okresie zapomnienia o tej naturalnej łączności nastąpił zwrot i rozpoczęto dosyć intensywnie prowadzić badania psychologiczne ze stanowiska biologicznego. Coraz więcej poświęca się uwagi zagadnieniom z pogranicza biologji i psychologji. Zajmują się niemi bądź biologowie, którzy sięgają do psychologji, bądź psychologowie, którzy się zagłębiają w biologji. Obie te gałęzie wiedzy są tak rozwinięte, iż do należytego ich opanowania potrzeba współpracy psychologa z biologiem. Podjęli się tego autorowie naszej książki. Musimy stwierdzić, że plon tej współpracy jest wydajny i dla naszej literatury psychologicznej niezwykle cenny. Ponieważ autorowie podają wiadomości w przystępnej i zaciekawiającej formie, książka stanowi wyborne wprowadzenie biologa w zagadnienia psychologji i psychologa w zagadnienia biologji. Wykłady ułatwiają zrozumienie i przez to, że dosyć często autorowie przychodzą czytelnikowi z pomocą przez fotografje lub narysy.

Znane są spory o to, czy psychologja należy do nauk przyrodniczych, czy też stanowi podbudowę nauk humanistycznych. Książka pp. Szumana i Skowrona rozwiązuje automatycznie tego rodzaju jałowe spory. Psychika ludzka jest bowiem uzależniona zarówno od warunków biologicznych, jak od warunków społecznych i kulturalnych; rozważania psychologiczne nie mogą być oderwane ani od jednych ani od drugich, jeśli mają być pełne. Podobnie udowadnia jeden z dalszych rozdziałów książki, iż psychika ludzka nie mieści się bez reszty w ramach biologicznych, mimo iż takie mniemanie znajduje zwolenników.

Autorowie starają się dać „pełny obraz psychiki ludzkiej jako zjawiska biologicznego, aby tem jaśniej wystąpiło ponadbiologiczne, specyficzne oblicze życia psychicznego człowieka“ (str. 405).

Niewątpliwie, lektura omawianej książki przyczyni się do usunięcia sztucznych przedziałów między psychologiem-biologiem i humanistycznie zorjentowanym pedagogiem. W rozdziale VI, gdzie są omówione biologiczne formy zdobywania doświadczenia, znajdujemy zwięźle podane podstawowe wiadomości dotyczące uczenia się, co pozwala czytelnikowi wytworzyć sobie dokładne pojęcie o tem zagadnieniu, skrzętnie opracowanem przez amerykańskich i niemieckich biologów i psychologów, jak Jennings, Thorndike, Köhler etc.

Przy końcu każdego rozdziału znajdujemy ważniejszą bibljografję swoją i obcą, dotyczącą poruszonej kwestji.

Autorowie twierdzą ze skromnością, że praca ich jest „w zasadzie zebraniem i systematycznem przedstawieniem zespołu faktów, badanych i opisywanych oddzielnie bądźto przez biologów, bądźto przez psychologów, ale nie ujętych, o ile nam wiadomo, nigdzie w systematyczny wykład“ (s. 6). Niewątpliwie wywiązali się bardzo udatnie z zadania, które sobie postawili, mianowicie, aby ich książka była nie tyle podręcznikiem, ile „zasadniczem wprowadzeniem w zakres biopsychologji“, mającem uzupełniać podręczniki z psychologji i biologji.

*X. P. CHOJNACKI*

# WYDAWNICTWA PERJODYCZNE

## ROCZNIK WOŁYŃSKI

Tom III-ci *Rocznika Wołyńskiego* jest księgą zbiorową, obejmującą szereg rozpraw specjalnych, o typie monografij regjonalnych. W prehistorję dyluwjalną Wołynia wprowadza nas Ludwik Sawicki, dając wytyczne kierunku, w jakim prace badawcze na tym terenie, niezwykle interesującym i bogatym w materjały paleolityczne, winny być prowadzone. Wczesne dzieje Wołynia omawia Roman Jakimowicz w interesującej rozprawie o szlaku wyprawy kijowskiej Bolesława Chrobrego. Przy pomocy badań archeologicznych autor rozpatruje warunki etniczne, osadnicze, kulturalne i komunikacyjne na obszarze, przez który przeszły wyprawy wojenne Chrobrego i Szczodrego. Studjum R. Jakimowicza wyjaśnia wiele kwestyj dotychczas zawikłanych, wykazuje, wbrew ustalonym poglądom, związki Wołynia ze Słowiańszczyzną zachodnią, oświetla niejedno zagadnienie z polityki Chrobrego o jej szerokim mocarstwowym zasięgu. Późniejsze, za rządów Rurykowiczów i Bolesława Jerzego Trojdenowicza, dzieje Wołynia, są przedmiotem źródłowej monografji Bronisława Włodarskiego.

Kresy wschodnie Rzplitej Polskiej pod względem etnograficznym przedstawiają niezwykle bogaty i barwny obraz. Mozaika narodowościowa, jaką tu widzimy, stwierdza ponad wszelką wątpliwość, że Polska w ciągu stuleci stanowiła pomost między Wschodem i Zachodem, przez który przewalały się różne ludy orjentalne; niektóre z tych żywiołów wschodnich przetrwały do dziś dnia na obszarach Polski. Dotyczy to przedewszystkiem Ormian, Tatarów i Karaimów, którzy osiedlili się na rubieżach Rzplitej. O jednym z tych ludów wschodnich, a mianowicie o Karaimach, pisze Ananjasz Zajączkowski, zajmując się nietylko ich pochodzeniem i przeszłością, ale i dzisiejszą gminą karaimską na Wołyniu.

Następne części *Rocznika* obejmują akta kościoła farnego ostrogskiego od 1622 r., klasztoru franciszkańskiego w Korcu, oraz Księgę wizyt generalnych szkoły oo. Pijarów w Dąbrowicy z 1782—1804 r. Dzieje protestantyzmu na Wołyniu w XVI—XVII w. są przedmiotem gruntownej pracy Aleksandra Kossowskiego. Bardzo interesujące szczegóły o mało znanem „Towarzystwie uczniów Liceum Wołyńskiego, ćwiczących się w porządnem mówieniu i pisaniu“, na podstawie archiwum Czartoryskich skreśliła Marja Danilewiczowa; „Towarzystwo“ to, pokrewne ideowo współczesnym Filomatom i Filaretom wileńskim, zaliczało do swego grona wybitnych z czasem pisarzy i działaczy, jak Antoni Andrzejowski (Detiuk), Franciszek Kowalski, Karol Kaczkowski, Maurycy Gosławski, Tymko Padurra, Stanisław Worcell. Zabytkom sztuki na Wołyniu poświęcone są rozprawy: St. Małachowskiego - Łempickiego o fabrykach porcelany i fajansu na Wołyniu i Wł. Tomkiewicza o zbiorach zamku Wiśniowieckiego. Etnografji i folkloru dotyczą prace: Dymnycza *Święto „Iwana Kupajła“ na Wołyniu* i Guzowskiej o strojach ludowych w powiecie zdołbunowskim. Do dziejów nowszych odnoszą się *Materjały w sprawie tajnego nauczania na Wołyniu w czasach zaborczych*, wreszcie stosunki dzisiejsze przedstawiają: Sowiński *(Dochodowość gospodarstw włościańskich na Wołyniu w 1927—30 r.)*, Ormicki *(Przyczynek do demogeografji Wołynia)* i Bonkowicz-Littauer *(Osadnictwo wojskowe)*. Obszerna, pracowicie zestawiona przez redaktora Jakóba Hoffmana, rozumowana bibljografja Wołynia zamyka wartościową publikację.

Należy wreszcie nadmienić, że ważniejsze rozprawy posiadają streszczenia w języku francuskim lub niemieckim, oraz obfite i staranne ilustracje.

*Rocznik Wołyński* przynosi prawdziwy zaszczyt zarządowi Wołyńskiego Okręgu Związku Nauczycielstwa Polskiego, którego staraniem jest wydawany.

*H. MOŚCICKI*

# PRZEGLĄD PRASY

POLEMIKI WARSZAWSKIE. — Warszawa żyje pod terrorem dowcipu. Dowcipem można więcej zdziałać niż argumentami. Zresztą dowcip jest przy pewnej zdolności i wprawie łatwiejszy niż argumenty. W przygniatającej większości warszawskich polemik czytelnik, któremu początkowo zdawało się, że dyskutanci walczą o sprawę publiczną, dostrzega nagle, że polemika służy im właściwie raczej do wypowiedzenia publicznego ich prywatnych animozyj. Oczywiście, że odtąd interesuje go więcej *match* dowcipów niż sprawa, która była pretekstem polemiki. Na tem tle zupełnie niewspółczesną wydaje się rzeczowa i pełna taktu polemika Karola Irzykowskiego z Aleksandrem Świętochowskim. Irzykowski zarzuca Świętochowskiemu, że w artykule „Przeciw naturze“ analiza jego współczesnej polityki jest zbyt uproszczona. Sprowadzenie wszystkich systemów politycznych współczesnej Europy pod wspólny mianownik „jednowładztwa“ nie jest słuszne. Irzykowski atakuje także podstawę teoretyczną analizy Świętochowskiego. „Głównym argumentem filozoficznym Świętochowskiego jest natura... Żeby jednak w świecie ludzkim panowały te same prawa co w organicznym, na to się już chyba dziś nie zgadzamy. To są analogje, metafory — socjologja organicystyczna okazała się niewystarczającą. Człowiek jest równocześnie zwierzęciem naturalnem i nienaturalnem, także nadnaturalnem... Natur jest kilka, lub powiedzmy lepiej: natura ma różne działy. Czasem trzeba wysilić nadmiernie jeden dział, aby uśmiercić drugi“ („Z naturą przeciw naturze“ — *Prosto z mostu*, nr. 38 i 39).

POPROSTU. — W Wilnie wychodzi pismo literacko-społeczne *Poprostu*. Pismo to nie wzbogaca kultury polskiej o organ, w nowy sposób analizujący współczesność kulturalną. Jest ono radykalne jak *Lewy tor*, czy *Lewar*. Możnaby zapytać, dlaczego zamiast utrzymać jeden wielki tygodnik radykalny na odpowiednim poziomie, pomnaża się ilość pism literackich, wyznających podobną ideologję, obniżając przez to ich poziom. W Polsce można zaobserwować ciekawy fakt: przy nadmiernym rozroście ilości pism literackich, dostrzegamy niesłychane ubóstwo oryginalnych pism. Brak jest pism kulturalnych, reprezentujących odmienne poglądy na świat, nadmiar pism, których istnienie, wobec nieoryginalności ich postawy wobec życia i kultury, jest właściwie niecelowe. Czyżby w zakładaniu tych pism odgrywały rolę tylko osobiste ambicje ich redaktorów i współpracowników?

WZLOTY. — Należałoby z tych samych przyczyn zakwestjonować celowość istnienia miesięcznika literackiego *Wzloty*. Jest to pismo bez charakteru i bez określonego poziomu. Wydawane w Przemyślu nie jest ono, jak należałoby przypuszczać, pismem regjonalnem. Wogóle nie da się ono bliżej scharakteryzować. Połowę nr. 7 zajmuje St. Napierski (3 wiersze, recenzje z 8 tomików poezji), pozatem Zegadłowicz, Birkenmajer i inni.

MARCHOŁT. — Potrzebnem i oryginalnem pismem jest *Marcholt*. Reprezentuje on ideologję „etyzmu kulturalnego“. Pismo to wypełnia dotkliwą lukę w czasopiśmiennictwie kulturalnem Polski. Z czasopism perjodycznych jest ono najżywiej redagowane. W nr. 4 uniknął redaktor zbytniego historyzmu, który cechował poprzednie numery. Artykuły pierwszorzędnych piór (Croce, Dąbrowska, Borowy, Pigoń, Górski i inni), w szczególności zaś dział „Przeglądy“, powinny wywołać dyskusję. Oczywiście, że jej nie wywołują. W Polsce się nie dyskutuje, o ile temat zagadnienia nie nadaje się do napisania „dowcipnego“ feljetonu. Z tego powodu najciekawsze myśli giną w zapomnieniu, zagłuszone hałaśliwą i demagogiczną wrzawą krzykaczy literackich. Z tego jednak powodu należy tem więcej podkreślać istnienie takich pism jak *Marcholt*.

LITERATURA NA CENZUROWANEM MŁODZIEŻY. — W nr. 39 *Prosto z mostu* redakcja ogłasza 2 listy (maturzystki z Grodna i 7-klasisty gimnazjum w Toruniu). Szczególnie list z Torunia świadczy o zbarbaryzowaniu młodzieży. Podczas przedstawienia *Dziadów* w Toruniu zdarzył się następujący incydent, o którym z dumą donosi „Mieczysław z Torunia“. Podczas przedstawienia uczniowie młodszych klas, t. zw. procmajstrzy, strzelali haczykami od pantofli w kierunku aktorów. Oczywiście przedstawienie musiano przerwać — artyści bowiem w II akcie grali w głębi sceny, bojąc się pokazać na przodzie. Redakcja *Prosto z mostu* ma wątpliwości, czy należy się stosunkiem młodzieży do kultury polskiej radować, czy martwić. My nie mamy takich wątpliwości: Radować się!

PROBLEM KATOLICYZMU W POLSCE. — Pod takim tytułem umieścił *Bunt Młodych* wywiad swego wysłannika z jednym z najwybitniejszych księży młodego pokolenia. W wywiadzie tym autor charakteryzuje obecny stan katolicyzmu w Polsce („Niestety siła katolicyzmu jest statyczna i bardzo trudno ją w obecnej chwili przetworzyć na kinetyczną“), stan kleru oraz metody, jakich należałoby użyć dla naprawy wiary kat. w Polsce. Poziom artykułu jak i szczerość i znaczny objektywizm wypowiedzi pozwalają przypuszczać, że nowe pokolenie duchowieństwa katolickiego będzie miało znacznie więcej do powiedzenia niż pokolenie starsze. Nie na wszystkie twierdzenia autora możnaby się zgodzić, niemniej tę pierwszą w publicystyce laickiej otwartą i w wysokim stopniu objektywną charakterystykę katolicyzmu należy podkreślić. Czy takie wypowiedzi nie są cenniejsze i korzystniejsze dla sprawy katolicyzmu w Polsce niż metody, używane często przez K. A. P. — powinny się zastanowić wyższe sfery duchowieństwa katolickiego.

SKAMANDER. — Wrześniowy numer *Skamandra* przynosi dalszy ciąg znakomitej powieści Ewy Szelburg-Zarembiny p. t. *Ludzie z wosku*. Pozatem w numerze oprócz wierszy i przekładu *Ubu król czyli Polacy* — artykuł Fr. R. Siedleckiego *Z dziejów naszego wiersza*. Autor swoją analizę rytmiki wiersza polskiego kończy uwagą: „W świetle współczesnej wiedzy o wierszu nie widać drogi, któraby mogła wersyfikację polską wyprowadzić z kręgu ustalonych już typów konstrukcji na teren nowych, zasadniczych odkryć“. Artykuł Siedleckiego jest nietylko inte-

resujący jako oryginalna na gruncie polskim próba analizy wiersza polskiego, ale również jako wyraz coraz większego zainteresowania w całej prasie literackiej sprawą rytmiki.

TYPOWA POLEMIKA. — *Opinja* — tygodnik polityczno-społeczny i literacki — atakuje artykuł p. Wandy Melcer p. t.: *Modlitwa i umieranie (Wiad. Lit.* nr. 36). Zasadnicze zarzuty, stawiane żydostwu przez p. Melcer, omija dr. Weissmann, wskazując na to, że w Ameryce nie lepiej się dzieje. Oczywiście w ten sposób da się bardzo łatwo zbić każdy atak — trudno jednak uważać, żeby argument taki był rzeczowy. Wogóle zadziwia niesłychana drażliwość Żydów, gdy ktokolwiek zaatakuje ich obyczaj — tem więcej zadziwia, że sami Żydzi bynajmniej nie krępują się, gdy mówią o obyczajach nieżydowskich. Pragniemy równości.

*W. BĄK*

# KRONIKA

## TĘSKNOTA

Zwróćmy uwagę, jak często zaczyna pojawiać się w prasie sentymentalne słowo: tęsknota. „Tęsknota sanacji za mężem stanu“ — głosi nagłówek artykułu w opozycyjnej gazecie; tęsknota za ustaleniem decydującej linji polityki gospodarczej, któraby podjęła ostateczną rozgrywkę z kryzysem — da się wyczytać w prasie bez różnicy odcieni partyjnych; tęsknota za jakiemś wyraźnem opowiedzeniem się młodzieży, najbardziej tajemniczego sfinksa w dzisiejszem życiu polskiem, — ogarnęła chyba wszystkich. Nawet gdy słowo tęsknota nie jest wypowiadane w swojem pełnem brzmieniu, występuje potencjalnie, kryje się pod postacią innych pojęć, pozornie różnych, w rzeczywistości wyraźnie lub prawie synonimowych. Gdy ktoś upomina się o zniesienie kartelowego systemu produkcji i przywrócenie dawnych praw drobnym warsztatom rzemieślniczym, to w labiryncie skomplikowanych często argumentów i ekonomicznych uzasadnień daje się wyczuć znowu jakby tęsknota za przyciszonym warkotem małej „domowej“ maszyny, pracującej bez ryzyka, żywiącej całe rodziny, zapewniającej ludziom spokój i łagodny odpoczynek bez wstrząsów i bez szarpaniny o jutro.

Bo o to właśnie chodzi, gdy się zastanowimy na chwilę nad owem zjawiskiem „tęsknoty“: żeby już nastał czas jakiegoś spokoju, żeby się przestać męczyć tem życiem, jakie się teraz pędzi. Nic bardziej charakterystycznego dla tego typu odczuwania rzeczywistości naszych ostatnich dni jak takie np. zdanie w artykule pisanym przez ekonomistę i skarbowca (w *Gazecie Polskiej):* „Jeżeli się upowszechni w naszem życiu gospodarczem i publicznem, dzięki doświadczeniu z lat ubiegłych, typ *boni patris familias* i weźmie górę nad lekkoduchem i fantastą, to dodatnie skutki tego dla przyszłości Polski nie dadzą się wprost zmierzyć i zważyć. Zacznie się wtedy naprawdę tworzyć bogactwo narodowe kraju“. Dyrektor Banku Polskiego, dr. Leon Barański, daje w tych słowach nietylko roztropne i zdrowe rady, ale co ważniejsza otwiera zbawcze ujście dla obywatelskiej tęsknoty, kieruje ją w jakieś łożysko, apoteozuje dom, rodzinę i jej uporządkowany system życia. Nawet jeżeli nie to było jego właściwem zamierzeniem, to jednak podobne ujęcie zagadnienia gospodarczego i osadzenie go na nizinach codziennego bytu ludzkiego zbiega się z nastrojami, aby je podtrzymać i pożywić w ich nostalgicznem zabarwieniu.

Ale po tem wszystkiem wypada się zapytać: skąd się to wzięło tak naraz, rozszerzyło jak powódź i zaczyna wypełniać życie polskie?

Odpowiedź „opozycyjna“ jest zgóry do przewidzenia i jest łatwa: trzeba zmienić rząd, ta tęsknota jest „przeciw“ niemu i jego ludziom i jego systemowi. Przypuśćmy, ale to nie objaśnia nam faktu, że zjawisko, o którem mowa, nie jest żadnym monopolem obywateli „opozycyjnych“, bo owszem zaznacza się i w sferach rządowych, popierających rząd i darzących go zaufaniem. Tam także tęsknią za odmianą, tam także dyskutują o cichych warsztatach zacnych rzemieślników z Wąskiego Dunaju, a nawet tam jest źródło niepokoju ogarniającego podobno patronat kartelowy; tam właśnie drukują artykuły znakomitego skarbowca, wróżące dobrobyt odbudowany rękami i głowami oszczędnych ojców rodzin. Czy zresztą młodzież „opozycyjna“ nie tęskni do zupełnego wyzwolenia się z pod opieki swoich starych mistrzów i do gruntownego przeobrażenia samej opozycji?

Nie, wszystko przemawia za tem, że sprawa ma szersze rozmiary niżby je można zmieścić w ramach czystej polityki. Ma ona niedwuznaczny posmak jakiegoś przesilenia w psychice polskiej, jakiegoś poszukiwania i chęci wypełnienia jakiejś luki, która się niespodziewanie otwarła. Niesposób dać już teraz właściwe określenie zaznaczającego się zjawiska, gdy w dodatku jest ono bardziej wyczuwalne w nastrojach niż poznawalne w postaci konkretnych sformułowań. Ale można już zaryzykować przypuszczenie, że chodzi tu o poszukiwanie elementów siły w momencie nagłego uświadomienia sobie słabości. Dlaczego jednak teraz właśnie?

Na to już nietrudno odpowiedzieć: poczucie słabości i tęsknota za siłą przyszły wkrótce potem jak przestało bić niewyczerpane, jak nam się zdawało, źródło mocy polskiej i jak w każdej duszy, „opozycyjnej“ i „rządowej“, powstała przejmująca pustka, w tej chwili gwałtownie wypełniająca się tęsknotą. A spokoju nie zaznamy długo, — dopóki nie przeżyjemy świadomie wszystkich wstrząsów, zaledwie zaczynających przechodzić przez psychikę polską po zgonie Józefa Piłsudskiego.

*STANISŁAW ROGOŻ*

*

## NAPIS NA GROBOWCU CZARNIECKIEGO.

Odczytawszy na reprodukcji projektu grobowca Czarnieckiego *(Pion* nr. 39) napis, śpieszę, póki czas, zwrócić uwagę komu należy na konieczność jego korekty.

Jak powszechnie wiadomo, Czarniecki został hetmanem p o l n y m koronnym na miesiąc przed zgonem, b u ł a w ę mniejszą otrzymał na łożu śmierci — toteż może słusznie, choć nie wiem czy całkiem świadomie, autorka płaskorzeźby włożyła mu do ręki b u z d y g a n. Hetmanem zaś w i e l k i m k o r o n n y m nie był nigdy. Niema więc chyba racji obdarzać go w 270-tą rocznicę śmierci tytułem ziemskim, którego nie nosił. Jeśli zaś „wielki“ jest w tym napisie słusznym tytułem sławy historycznej, jak to możnaby się domyślać z porządku słów („wielki hetman koronny“), to znów „koronny“ jest zbyteczne, bo zasłużył się on nietylko Koronie, zasłaniając nie mniej Litwę swym orężem; zresztą ta redakcja nasuwa, jak widzieliśmy, możność fałszywej interpretacji.

Nie wydaje mi się jednak godny polecenia tytuł „hetman polny koronny“. Pachnie on nieco w tej okoliczności tym biurokratyzmem, którego szczytem jest już legendarny napis: „koszary im. generała-porucznika Tadeusza Kościuszki“. Nie odpowiada zresztą tytulaturze staropolskiej, która wymieniała na pierwszem miejscu tytuł senatorski jako oficjalnie wyższy od hetmańskiego: hetman z racji samej tej godności nie był senatorem. W tym wypadku trzebaby więc na pierwszem miejscu umieścić „wojewoda kijowski“. W takim jednak razie należałoby może dać pełne oficjalne wyliczenie tytułów, łącznie ze wszystkiemi starostwami, zgodnie z obyczajem epoki, a dla równowagi w zachowaniu stylu uzupełnić wymienieniem przewag odniesionych, służb znamienitych i ran, nie zapominając o żołnierskiej śmierci: nie wszyscy uświadamiają sobie bowiem, nawet znając historję, że Czarniecki może być wliczony do rzędu wodzów, poległych na polu chwały, gdyż nie ze starości, choć w 66 roku życia, lecz z świeżej rany śmiertelnej umarł.

Może jednak lepiej byłoby dać napis zupełnie krótki: „Hetman Czarniecki“, „Stefan Czarniecki“ lub wprost „Czarniecki“, gdyż samo nazwisko postaci tej miary i sławy powinno ewokować jego wielkość i zasługi. Nie chcę rozstrzygać ani dawać projektu. Sztuka układania napisów na kamieniu i bronzie nie jest małą ani łatwą, a jej antyczne sekrety są w zapomnieniu.

Przypomnienie narodowi o Czarnieckim wzniesieniem grobowca uważam za czyn godny uznania i bardzo aktualny. Ta postać, jedna z najpopularniejszych w ciągu dwóch wieków, jedna z tak nielicznych zaszczyconych pomnikiem publicznym w dawnej Polsce, jeden z dwóch wodzów, wspominanych w hymnie narodowym, sławny i u cudzoziemców *(„le Du Guesclin de la Pologne“* w małym Laroussie), przechodzi okres zaćmienia. *Encyklopedja Wojskowa* mówi o nim zadziwiająco krótko. Brak nowszych opracowań nie pozwala na zdanie sobie sprawy z jego rzeczywistych zasług, na oddzielenie ich od legendy. Wódz, kawalerzysta, zagończyk niespotykanej miary czy tylko żołnierz niezłomnego ducha i energji fizycznej? Koncepcje strategiczne w stylu przerzucania armij niemieckich z zachodniego frontu na wschodni i z powrotem w czasie Wielkiej Wojny czy tylko niewiarygodne wyczyny jeździeckie (przeszło 300 klm w dwie doby)? Pilnie potrzebna monografja, której nie zastąpi z pewnością broszurka, przygotowywana na uroczystość odsłonięcia pomnika.

*K. W. ZAWODZIŃSKI*

*

## PROF. G. RODENWALD W UNIWERSYTECIE JÓZEFA PIŁSUDSKIEGO.

Gerhard Rodenwald — b. prezes Niemieckiego Instytutu Archeologicznego, profesor archeologji klasycznej w Uniwersytecie Berlińskim — należy do czołowych humanistów naszego pokolenia, którzy w kulturze antyku widzą niewyczerpane źródło podniet dla rozwoju wartości kulturalnych doby dzisiejszej. Szeroką swoją wiedzą i zainteresowaniami obejmuje on wszystkie zagadnienia, związane z kulturą antyku. Jest równie dobrym filologiem, jak i archeologiem. Z równą precyzją sądów i wnikliwością dociekań publikuje nowe, oryginalne materjały — dość wymienić jego publikacje wykopalisk w Tirynsie i w Mykenach lub studja nad malowidłami pompejańskiemi i sarkofagami rzymskiemi — jak też ujmuje syntetycznie zagadnienia treści ogólnej, filozoficznej, czemu dał wyraz w szeregu prac na łamach *Zeitschrift für Ästhetik und Allgemeine Kunstwissenschaft*, i w swojej historji sztuki starożytnej: *Die Kunst der Antike.* Niema takiego obszaru starożytnej kultury śródziemnomorskiej, któremuby prof. Rodenwald nie poświęcił poważniejszej rozprawy naukowej. Czy to będą problemy sztuki minojskiej na Krecie, czy archeologja Syrji i Anatolji, czy wreszcie kultura Grecji i Rzymu lub wybrzeży północnych Afryki — na każdym kroku przy pracy badacz spotyka się z nazwiskiem naszego gościa z jego ustaleniami, lub z jego teorją.

W trudnych latach powojennych stojąc na czele Niemieckiego Instytutu Archeologicznego, zorganizował. Prof. Rodenwald systematyczną sekcję publikacyjno-wydawniczą Instytutu oraz ożywioną działalność wykopaliskową w Grecji, w Turcji, w Egipcie i we własnym kraju.

Jako profesor na katedrze berlińskiej, wykształcił liczny poczet pracowników naukowych, którzy dziś już zajmują samodzielne katedry uniwersyteckie; do grona swych uczniów zalicza on nietylko swych współrodaków, lecz także wielu cudzoziemców, między innymi i Polaków.

Prof. Rodenwald w jednej ze swych publikacyj wyraził pogląd, że z pośród wszystkich dziedzin pracy naukowej archeologja jest najbardziej tą nauką, która prowadzi do międzynarodowego zbliżenia. Podzielając w zupełności to przekonanie, uczeni polscy z tem większą radością powitali profesora Rodenwalda w murach Uniwersytetu Józefa Piłsudskiego.

*K. M.*

*

## CHOROBY PRACY SPOŁECZNEJ

Nie ja pierwszy o tem piszę i nie ja odkryłem niedomagania naszego życia społecznego. W ostatnich zwłaszcza czasach pojawiło się w pismach kilka artykułów, bijących na alarm, nawołujących do naprawy, opisujących fatalne stosunki w tej dziedzinie.

Dowiadujemy się więc, że w miastach i miasteczkach jest zatrzęsienie organizacyj, moc prezesów i sekretarzy, przeciążenie składkami, a organizacje różnią się między sobą najczęściej tylko nazwami. Od czasu do czasu zaś urządzają one zbiórki czy imprezy, z których dochody „rozpływają się“, albo wydają „albumy“...

Przedewszystkiem nie utrudniajmy sobie rozważań o sprawach społecznych sprawami „albumów“ czy innych kupieckich imprez. Wszędzie znaleźć się może nieuczciwy człowiek, i nie to jest istotą zagadnienia. Zbiórki oszukańcze i tym podobne sprawy nie rozkwitają w małem miasteczku, tam za dobrze się wszyscy osobiście nawet znają.

Nie jest sprawa niedomagań naszego życia społecznego tak prostą, aby można ją załatwić na gruncie uczciwego czy nieuczciwego postępowania. Nie załatwi jej też nawet radykalne skreślenie kilku lub kilkunastu organizacyj i zamknięcie ich. Przedewszystkiem chodziłoby o to, których? Dalej, jeżeli już o skreśleniu mowa, to nie załatwi tego miasto powiatowe czy wojewódzkie, z tej prostej przyczyny, że powstają w nich tylko pochodne koła lub oddziały stowarzyszeń zalegalizowanych centralnie. Samodzielne regjonalne organizacje ograniczają się w całej Polsce napewno do kilku zaledwie.

W jednym z artykułów, sprawie omawianej poświęconych, wspomniana jest Chełmża, posiadająca 72 organizacje społeczne. Nowogródek ma ich więcej... Lwów kilkaset... Jest to więc niewątpliwie szkodliwy przerost. Aby go jednak usunąć, musimy przedewszystkiem zbadać, co to są za organizacje. Okaże się prawdopodobnie, że nie są to stowarzyszenia odrębne, lecz zarządy różnych stopni, rejestrowane, według ustawy, każdy zosobna. W mieście wojewódzkiem istnieje więc zarząd wojewódzki, powiatowy i koła (oddziały) miejscowe, a nawet często kilka kół lub oddziałów.

Weźmiemy do analizy naprzykład kilka tylko stowarzyszeń. LOPP, Liga Morska i Kolonjalna, Czerwony Krzyż, Federacja Związków Obrońców Ojczyzny, Związek Strzelecki, Związek Oficerów Rezerwy, Podoficerów Rezerwy, Związek Rezerwistów, Związek Inwalidów, dodajmy do nich Bezpartyjny Blok, związki zawodowe, stowarzyszenia naukowe, organizacje oświatowe, spółdzielcze, kółka rolnicze—napewno zbierze się przynajmniej 20 organizacyj, o których przeciętnie trudno powiedzieć, że są zupełnie niepotrzebne. Dadzą nam one w sumie w mieście wojewódzkiem około 60 zarządów, a w powiatowem około 30.

Mamy jeszcze drugą chorobę społeczną: dublowanie pracy przez organizacje o tych samych celach i programach. Rażącym przykładem są tutaj organizacje, zajmujące się sprawami rolniczemi. Dalej organizacje krajoznawczo-turystyczne, których mamy w Polsce 6. Przykłady te łatwo pomnożyć.

Choroba stowarzyszeń, zebrań i t. p. zaczyna się w mieście powiatowem, wzrasta w wojewódzkiem. Naliczyliśmy już 60 zarządów, a podniosą ich liczbę jeszcze komitety dorywczo organizowane, wspomniane stowarzyszenia turystyczno-krajoznawcze, dalej związki sportowe,—tak, że cyfra 80 do 100 zarządów w mniejszem mieście wojewódzkiem nie jest wcale przesadzoną. To są wszystko zarządy czy komitety organizacyj żyjących. Wszystkie one zbierają wkładki, chcą odbywać i odbywają zebrania, posiedzenia. A gdyby każdy z tych zarządów chciał zebrać się raz na miesiąc, to wypadłyby 3 lub 4 nawet posiedzenia na każdy bez wyjątku dzień tygodnia w mieście wojewódzkiem.

Wzmożona więc choć trochę działalność jednego stowarzyszenia utrudnia automatycznie pracę drugiemu. Bo ludzi do pracy społecznej jednak niema za dużo. W tych 80—100 zarządach ilość członków nie przekracza prawie nigdzie 250—300 osób.

Pobieżny zatem już przegląd niedomagań i chorób naszego życia społecznego uwidocznia nam ich conajmniej cztery: przerost samych stowarzyszeń, brak ich konsolidacji wewnętrznej, brak ludzi, dublowanie pracy przez stowarzyszenia i komitety doraźnie powstałe.

*R. W. HOROSZKIEWICZ*

*

## ŻYCIE TEATRU

*Nowy dramat Nałkowskiej.* — Autorka *Domu kobiet* i *Dnia jego powrotu* przerobiła na scenę swoją powieść p. t. *Niedobra miłość.* Wersja dramatyczna tego wybitnego utworu ukaże się niedługo na jednej ze scen T. K. K. T.

*Awantura o sztukę Bourdeta.* — *Margot*, nowy, niegrany utwór Bourdeta, którego *Ciężkie Czasy* wystawiono w min. sezonie w Teatrze Polskim—jest przedmiotem żywo komentowanego sporu między autorem a M-lle Marie Bell, kierowniczką *Théâtre des Ambassadeurs.* Niewinnie nazywająca się sztuka miała zainaugurować nowy sezon tego teatru. Wnet jednak zaznaczyła się ostra rozbieżność w jej interpretacji między dramaturgiem a mocno wyemancypowaną dyrektorką. Bourdet, nie mogąc znaleźć dla siebie posłuchu, postanowił *Margot* wycofać, ale panna Marja odmówiła mu zwrotu sztuki. Sprawa oparła się o sąd. „Teatr nie umarł, jeśli ciągle wznieca tak żywe namiętności“—dodaje od siebie paryska *Comoedia*, donosząc o tym fakcie.

*Kubuś w Paryżu.* — Teatr *Michodière* podjął pracę wznowienia *Kubusia (Bichon)* ze świetnym Victorem Boucher.

*Saszeńka ciągle pisze.* — Sacha Guitry spłodził nową, kilkudziesiątą z rzędu sztukę *Quand jouons-nous la comédie?* dziejącą się w środowisku teatralnem—i wystawia ją na scenie *Théâtre de Paris.* Wyjątkowo nie gra w niej żadnej roli.

*Run kobiet na teatr.* — Dramaturgja kobieca staje się w Polsce zjawiskiem masowem. W ślad za Nałkowską szereg autorek próbuje z rozmaitem powodzeniem sił w teatrze. Janina Morawska, znana z szeregu słuchowisk radjowych, wystawia niedługo w Teatrze Nowym pierwszą próbę dramatyczną: *Łańcuch.* Szereg powieściopisarek podejmuje zagadnienie dramatyczne: Herminja Naglerowa napisała *Obcego człowieka*, Pola Gojawiczyńska: *Współczesne*, Wanda Melcer sztukę: *Od śniadania do obiadu.*

# Odpowiedzi Redakcji

*E. Z.*—Wierszy *Okrakiem* i trzech innych nie wydrukujemy.

*J. M. w Zduńskiej Woli.*—Nadesłanych nam czterech wierszy nie wydrukujemy.

*Z. H. w Katowicach.*—Z nadesłanej nam korespondencji o życiu kulturalnem Śląska nie skorzystamy.

*W. P. w Lublinie.*—Poematu *Pieśń o złej wodzie* drukować nie będziemy.

*Dr. K. L. we Lwowie.*—Nie możemy zrobić wyjątku.

*M. Z.*—Wiersz *Czekam świtu* nie będzie drukowany.

*Hell-A.*—Wierszy WPana drukować nie będziemy.

*S. Ż.*—Groteski *Manekin* nie wydrukujemy.

*Prof. dr. W. W. we Lwowie.*—Z łaskawie nadesłanego nam artykułu na temat *Granicy* nie skorzystamy.



REDAKCJA: Warszawa, Al. Ujazdowskie 20, telefon 9.24-00; czynna w poniedziałki, środy i piątki od godziny 18 do 19. Rękopisów nadesłanych nie zwraca się.
ADMINISTRACJA: Warszawa, Al. Ujazdowskie 20, tel. 9.91-08; czynna codziennie. Prenumerata w kraju: mies. 2 zł.; kwart. 5 zł.; zagranicą: mies. 3 zł., kwart. 8 zł.
Ogłoszenia: za wiersz 1 mm. szerokości 1 szpalty — 60 groszy za tekstem; 80 groszy w tekście. Zastrz. miejsca 25% drożej. Konto P. K. O. Nr. 18.590.

Redaktor naczelny: WŁODZIMIERZ ANTONIEWICZ — Wydawca: za Towarzystwo Kultury i Oświaty JAN KASIŃSKI

Drukarnia Współczesna, Sp. z o. o., Warszawa, Szpitalna 10.